Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 41

LEON KALTENBERGH

Zapomniani żołnierze literackich frontów

Gide wtedy nie napisał jeszcze „Ciasnej bramy". a Bourget był bardzo młody. Wtedy się urodzili, jak kępka świeżo narosłych po deszczu purchawek i ruszyli w świat, zalewając go potokiem przekleństw i haseł. Szastało się wówczas wiele najrozmaitszego gatunku „poete maudit" wszystkiemi uliczkami wszystkich literatur, ale ci byli pierwszymi rozczarowanymi genjuszami nieznanego dotychczas typu.

Nastrojowcy, parnasiści, Samain, Heredia, a nawet może i najciekawszy z ich punktu widzenia, wiecznie urżnięty Rictus — autentyczny, nie z litografij Steinlena — nie obchodził ich nic. Budowa Eyfla była najciekawszem zdarzeniem, a pałac Elekryczności na przyszłej wystawie wszechświatowej — symbolem upodobań i dążeń. Gdyby byli obznajomieni lepiej z techniką budownictwa, uznaliby za godło sześcian betonu. Jedni z nich tkwili dawniej w ogonie „Abbaye", owym talansterze literatury, inni byli zdecydowanymi zwolennikami grupy „poezji socjalnej". Nigdzie nie zagrzali miejsca. A Wilhelm de Kostrowicki, późniejszy Appolinaire — miał już wtedy życie bogate w zdarzenia literackie. Ale już nie upajał się symbolizmem, nie nęcił go powstający integraizm. Przechodził okres „przełomowy". Jednak nie o niego chodzi. Idzie o tych, którzy ogromnym wysiłkiem przygotowywali grunt pod futuryzm, tak jak dawniej impresjoniści musieli wychowywać dla siebie publiczność. Tylko, że tym, niezawsze znanym z imienia, zebrał posiew kto inny: szalejący od roku 1909 właśnie futuryzm. Bezpośredni jego poprzednicy, niezdeklarowani i smętni, a co najważniejsze, pozbawieni sprężystego kierownictwa i propagandy, rozwiniętej potem świetnie przez Marinettiego, zgubili się w morzu nowych głów, płynących z nowemi prądami. Te nazwiska, które zostały, zawdzięczają swoje historyczne życie kronikom policyjnym i skandalicznym „Matin'a" i innych pism.

Zasługa dla literatury: przygotowanie, wymoszczenie drogi nowemu kierunkowi. Murzyn zrobił swoje i odszedł — tylko, odszedł z hałasem.

WIZA NA DRUGĄ PLANETĘ

Właściwie na ziemi nie było już nic do zrobienia. Tak przynajmniej twierdzili inni tego samego pokroju osobnicy. Najlepsza historja, to — przeniesienie się w lepszy świat, z zachowaniem życia. Cóż, kiedy wysuwane wnioski okazywały się niezniszczalne. Wtedy powstawało znowu jakieś pisemko, krzykliwie i rozpaczliwie wegetujące, ale przyzwyczajeni do kabaretów Hyspy, Bruanta, czy de Salisa burżuje nie zwracali już na nic większej uwagi. Ha, każdemu wolno kląć. Nawet (a może właśnie najbardziej) poetom sankiulotom, w dosłownem znaczeniu. Futuryzm, który przyszedł, dawał prawo wyjazdu na inną planetę. Krzyczał i przeklinał, walił, ale też budował i przedewszystkiem pokazywał nowe, niespotykane dotychczas strony sztuki. Marinetti szalał, Boccioni szalał, Paolo Buzzi szalał, literatura się wściekła, malarstwo już - już zamierzało się powiesić. W rozgardjaszu i galimatjasie manifestów, reklamowych nalepek i bzdur, rzadko znalazł się ktoś, kto umiał się zdobyć na dobrą wolę i zechciał wyłapać z zamąconej ogromnie wody to, co w niej było istotnie wartościowego. Poniewczasie dopiero zaczęto miarkować, że futuryzm - doktryna filozoficzna, futuryzm-sztuka, wreszcie futuryzm - światopogląd, to nie fabrykat „zbezczelniałych miernot". Zorjentowali się przedewszystkiem obcy. Za przykładem Paryża, wściekły się strefy podbiegunowe — w jego, oczywista, pojęciu.

Urodzili się futuryści polscy i rosyjscy. O tamtych, którzy głosili prawie - futurystyczne hasła jeszcze w czasach Bourgeta — zapomniano, naturalnie zupełnie.

ARKTYCZNE PASY SIĘ BURZĄ

Na granicznych stacjach kolei kulturalnej wszczął się ożywiony ruch. Tembardziej ożywiony, że mało kto z początku zwracał na to uwagę. Okresy, kiedy w rosyjskiej literaturze skończyli się już symboliści, gdy sztucznie budowali programy ich rozmaici następcy, były podobne do zdjęć przy blasku magnezji: przygotowania trwały długo i serjo — wyniki okazywały się martwo - sztuczne, bezbarwne i typowo nie naturalne. I oto w tym momencie wystąpili rosyjscy futuryści różnych odcieni. Jeszcze nie związani żadnemi węzłami rzeczowej pracy, podejrzliwi w stosunku do siebie samych, niechlujni w robocie literackiej — wogóle niepoważni i śmieszni. Nie było wielkich nazwisk. Majakowskij, Pasternak, Chlebnikow mieli jeszcze dość dużo czasu do chwili, w której publiczność zgodnym rykiem pantagruelicznego śmiechu witała ich pojawienie się na estradzie. Mocny grunt pod ich jeszcze nieprzyszłe wystąpienia urabiali ci, których się nie zna: Szkolnikow, Michelson, Potipaki, Lentułow... Śmiano się. Nazywano kretynami, a cichutko i leciutko ponlektórzy literaci „lepszego gatunku" brali i traktowali jako swoją własność te zdobycze futuryzmu, które uznali za nadające się do ich celów. Ten, ów i jeszcze tamten już wziął się do stosowania wyśmiewanych wczoraj elipsy i paraboli, jutro zaczynał mówić o skojarzeniu nonsensów... Futuryzm tymczasem atakował i co najważniejsze: oderwał się wreszcie od wzorów francuskich i włoskich. Przekreślił wszystkie tezy polityczne manifestu 1909 roku. Stworzył własną, odrębną od „zagranicznej" podbudowę ideologiczną, własną estetykę, własną doktrynę i metodę twórczą. Pomiędzy rosyjskim a francuskim, lub włoskim futuryzmem jest głębsza różnica, niż między symbolizmem a futuryzmem. Ci, czytani, uznani, znani i tłumaczeni, przyszli po zaszczutych, sponiewieranych i *walczących* Kruczenykach, Szkolnikowych, Lentułowych... Kto słyszał lub wie o nich dziś, gdy futuryzm — a specjalnie rosyjski — przeszedł do historji literatury?

„FUTURYZMU NIEMA"

Pomijając bardzo nielicznych, nikt przeciętnie nie słyszał o Jerzym Jankowskim, futuryście polskim z przed wojny. Kiedy w pierwszych latach powojnie rozhukała się u nas nowa twórczość poetycka i artystyczna, bardzo niewielu przypominało go sobie. A już młodzi poeci (młodzi ze względu na wiek, a nie gatunki poetyckie, które reprezentowali) z umiejętną reklamą włażąc na karki publiczności, czerpiąc całemi garściami ze zdobyczy walczącego już właśnie polskiego futuryzmu — kpili z niego w sposób najboleśniejszy. Jeżeli nie kpili — przemilczali.

Przemilczano Wata, Młodożeńca, starano się przemilczeć Witkiewicza. Dziś wiemy, że „Zwrotnica" była nią nietylko z tytułu, gdy przejrzymy bodaj dwa pierwsze roczniki „Zdroju" wyłapując tu i ówdzie zadziwiające i też przemilczane literackie fakty — splendor dawnego „Skamandra" blednie. Pomimo tego, że drukował Witkiewicza. I mimo, że twierdził, iż polskiego futuryzmu, „w pełnem tego słowa znaczeniu", niema. Był. Tylko zrobiono i robi się wszystko, żeby go dalej przemilczać. Tak, jak się przemilcza obecnie awangardę, o której t. zw. młodzi (wiekiem i kulturą) literaci i zawodowi poloniści twierdzą, że jej niema. Cóż mówić o przeciętnym konsumencie literatury?

Genjalni literaci innych obozów stosują zdobycze awangardy — bez powoływania się na źródło. Prawdopodobnie uważają te zdobycze za swoje. A najmłodsze pokolenie o źródłach zapomni wogóle. Ci, którzy owym najmłodszym wymoszczą drogę, zostaną dla nich w przyszłości — ...bastardami literatury.

KTO?

Kto są właściwie ci bastardowie? Jaką spełniają rolę w rozwoju łaskawie zapominającej o nich literaturze?

1-o. Są pionierami nowych kierunków.

2-o. Spełniają rolę katalizatorów i twórców *narzędzi* przyszłej pracy literackiej.

Literatura zapomina o nich, bo: krytycy rzadko zadają sobie trud odczepienia się od stale używanych kryterjów (vide Irzykowski); poloniści w szkołach kończą edukację z zakresu historji literatury na pozytywizmie, rzadziej na Młodej Polsce; (dochodzi do tego, że młodzi poloniści - studenci uważają Tuwima za czołowego futurystę „z sensem", a wszystkie nonsensy — za futuryzm); Wreszcie, młodzi poeci — czytani zresztą tylko przez snobów — wolą chodzić statemi i wygodnemi drogami, wzorując się na najbogatszym (materjalnie) monopolu poetyckim „Skamandra", powstałym zapewne pod wpływem monopolów innych: spirytusowego, tytoniowego, zapałczanego.

Cóż, z punktu widzenia merkantylizmu, rzecz się przedstawia czarująco!

Kronika literacka

„Merkurjusz Polski" nr. 35 z dnia 6 bm. przynosi dalszy ciąg interesującej dłuższej pracy o wolnomularstwie, określonem przez autora jako organizacja antypaństwowa, pozostająca pod zupełnym wpływem i kierownictwem międzynarodowego żydoswta.

W zwykłej rubryce „Okruchy tygodnia" — rozważania na temat mnożących się samobójstw uczniów w szkołach polskich, oraz sylwetka zamordowanego niedawno senatora i gubernatora Luizjany, Hueya Long'a.

Zeszyt uzupełnia tygodniowy przegląd najważniejszych wydarzeń politycznych, i doskonałe jak zawsze „Fraszki". I wreszcie jeszcze jedna sylwetka, tym razem ujęta na wesoło: Jana Starży Dzierzbickiego, „władcy kosmosu"...

MAURICE DONNAY

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

HENRYKA. — Dowidzenia kapitanie i rozstajemy się w zgodzie, prawda?

KAPITAN. — Och, pani.

(Aubier wychodzi z Kapitanem, pani Aubier ich odprowadza, mówiąc do syna: „Uważaj, żeby ojciec nie wrócił cały przemoknięty, jak wczoraj... jego flanelową kamizelkę można było wykręcać... On taki nieostrożny... Wydaje mu się zawsze, że ma 25 lat".)

ANNA (kiedy Aubier, Wuj Emil, Kapitan i pani Aubier wyszli.) — A więc Henryko, do zobaczenia za chwilę. Zostawiamy was przy pracy... będziemy w salonie obok... prawda, Zuziu?

ZUZANNA. — Tak, tak.

(Bierze robótkę i wstaje. Obydwie wychodzą. Henryka i Michał zostają sami.)

Scena 4.

Henryka, Michał.

(Długie milczenie.)

HENRYKA. — Napisałeś mi śliczny list, czytałam go wczoraj wieczór przed spaniem... i w nocy się z nim nie rozstawałam, a rano czytałam go znowu.

MICHAŁ. — Czy napewno podarłaś wszystkie moje listy?

HENRYKA. — Nie jeszcze.

MICHAŁ. — Gdzie one są?

HENRYKA. — Tu, w mojej torebce... chcę je jeszcze raz przeczytać w pociągu, który mnie uwiezie daleko od ciebie. Przed Paryżem je podrę. Czy pracujemy jeszcze ten ostatni raz?

MICHAŁ. — Zostaw te papiery... będę pracował sam, o ile potrafię. Pomyśl, że za godzinę już cię nie będzie! Co ja pocznę?

HENRYKA. — Jesteś nieszczęśliwy, mój biedny, malutki, ale nie więcej odemnie... Cóż... będziesz o mnie myślał dużo, będziesz wspominał nasze cudowne spacery przez wieś, jak wolnymi czuliśmy się na tych wielkich równinach, gdzie tak dużo nieba widać... i nasze milczenia, ciężkie od myśli, gdyśmy wychodzili na białe drogi, w chłodnej melancholji wieczoru. Ach! Te zmierzchy wrześniowe, pełne woni spalonych traw! Nigdy ich nie zapomnę i zabieram z sobą wspomnienia tych trzech tygodni, spędzonych obok ciebie.

MICHAŁ. — Tak, przez te trzy tygodnie nasze egzystencje były połączone. Jakże potrafię teraz być bez ciebie! Zdawało mi się, że rozpoczynam nowe życie... a teraz trzeba je brutalnie przerwać.

HENRYKA. — Za sześć tygodni wrócimy wszyscy do Paryża, wtedy się znowu zobaczymy.

MICHAŁ. — Zapewne, spotkamy się jak zeszłego roku w wielkim świecie, na obiadach, przyjęciach... niekiedy na pustych ulicach podmiejskiej dzielnicy. zasiądziemy o zapadającym zmierzchu na ławce wśród spacerujących, jak dwoje bezdomnych, zmuszonych do pozostania kochankami platonicznymi.

HENRYKA. — Skądże takie beznadziejne myśli?

MICHAŁ. — Bo nasz stosunek jest całkiem oryginalny. Prawie rok upływa od chwili, gdyśmy się spotkali, od pierwszej chwili mówiliśmy z sobą jak ludzie, którzy się znają od dziesięciu lat, jest między nami serdeczna przyjaźń i zażyłość. Niemal od pierwszej chwili mówiliśmy sobie ty, jak kochankowie... ale kochankami nie jesteśmy.

HENRYKA. — Czyja wina? Nasze widzenia się mogą być w przyszłości mniej przypadkowe, ale nie jest moją rzeczą szukanie jakiegoś schronienia.

MICHAŁ. — I... przyszłabyś?

HENRYKA. — Masz tobie!

MICHAŁ. — I wtedy... byłabyś moją?

HENRYKA. — To nie ulega wątpliwości.

MICHAŁ. — Ach! (ona się śmieje.) Nie trzeba się śmiać.

HENRYKA. — Ależ tak, śmieję się z twojej rozczarowanej miny. A przecież nie masz do tego powodu. Pewnem jest jedno, że się mnie boisz.

MICHAŁ. — Jesteś tajemniczą istotą, czasami miewasz niepokojący uśmiech, ot naprzykład jak w tej chwili. Ale wtedy, kiedy moje usta miażdżyły ten twój uśmiech na małych, drapieżnych ząbkach, nie zadrżałaś nawet.

HENRYKA. — Jakto, nie zadrżałam?

MICHAŁ. — Nie, nigdy nie miałem wrażenia, żebyś pragnęła czegoś więcej.

HENRYKA. — Tak, jak to odgadnąć?

MICHAŁ. — A więc zadaję sobie pytanie, czy ci na tem zależy.

HENRYKA. — Czy mi na tem zależy? Co za idjotyczne pytanie! Gdyś mnie przytulał do siebie i kiedy podawałam ci usta, czyż nie czułeś, że się stają zimne jak lód? Jakichże znaków jeszcze ci trzeba? Ale ja ci już tłumaczyłam: mam wstręt do wszystkiego, coby mogło wyglądać na niespodziankę. Uważam, że aby chwila, w której ci się oddam, miała całe swoje znaczenie, musi być z góry przemyślaną. Nie jestem ani nieczułą, ani tajemniczą istotą, jedna boska chwila przekona cię o czemś wręcz przeciwnem. Tylko, że tej chwili ty sam nie pragniesz.

MICHAŁ. — Ja jej nie pragnę... oszalałaś chyba!

HENRYKA. — Nie, nie pragniesz jej tak, jakbym tego chciała, przyjąłbyś ją mile, gdyby cię zaskoczyła, nie chcesz jej jednak z rozmysłem. Pragniesz jej jako chwili, ale obawiasz się jej, jako konsekwencji i w tem się różnimy. Bądź szczery... czy nie mam racji?

MICHAŁ. — To prawda, boję się jej.

HENRYKA. — Dlaczego?

MICHAŁ. — Dlaczego? Wiesz dobrze dlaczego. Ponieważ nie jesteśmy wolni, ponieważ ja mam żonę, a ty...

HENRYKA. — Już ci to mówiłam: jeśli będzie trzeba, potrafię odzyskać wolność. Nie kocham męża, jest niepodobieństwem, ażeby dwie ludzkie istoty mniej się rozumiały, niż Gaston i ja. Nudzę się przy nim śmiertelnie. Mam lat dwadzieścia trzy i nie myślę umierać z nudów. W tej chwili naprzykład, na myśl, że mam go znowu ujrzeć, mam ochotę uciekać, jechać gdziekolwiekbądź. Jeżeli już nie mogę być przy tobie, pragnę zostać sama, rozumiesz? Sama. Sama z wspomnieniami o tobie i z mojemi marzeniami. Ach! Małżeństwo! małżeństwo! Co za straszna rzecz! A ja jestem zamężną od czterech lat. Czy wyobrażasz sobie, co to znaczy? Tysiąc czterysta sześćdziesiąt śniadań (zrobiłam obliczenie) i tysiąc czterysta sześćdziesiąt obiadów vis-a-vis kogoś, komu się nie ma absolutnie nic do powiedzenia... i tysiąc czterysta sześćdziesiąt nocy! Co za ohyda! I od czterech lat nie mogę zrobić kroku, by mnie nie zapytano: „Dokąd idziesz? Skąd wracasz? Kogo widziałaś?" Nie mogę nawet milczeć, żeby mnie nie pytano: „O czem myślisz?" To przerażające, żeby jakiś człowiek miał prawo pytać o to drugiego! Nie, nie, ja wyjadę, jestem na to zupełnie zdecydowana. (I gdy Michał milczy, mówi:) O czem myślisz?

MICHAŁ. — O wszystkiem, coś mi powiedziała. Myślę też, że ja, co do mnie, nigdy nie będę wolny.

HENRYKA. — To będzie niem przynajmniej jedno, a raczej jedna z nas.

MICHAŁ. — Ale ja nie mogę opuścić żony i dzieci.

HENRYKA. — Tego od ciebie nie żądam.

MICHAŁ. — A więc z mojej strony pozostanie to zawsze cudzołóstwem, to jest kłamstwem i udawaniem, a na wypadek odkrycia naszego stosunku prawdopodobny dramat, pewne cierpienie. Ach! Widzisz, rozmyślałem nad tem wszystkiem. Nie powinniśmy się już nigdy zobaczyć.

HENRYKA. — Widzę, że istotnie rozmyślałeś. Oto rada, którą cię natchnęła ostatnia noc, spędzona przezemnie pod twoim dachem. Zatrzymajmy się nad groźną przepaścią, póki czas, czy nie tak?

MICHAŁ.— Tak.

HENRYKA. — To znaczy, przed momentem, w którym stałabym się twoją, przed spełnieniem się tego, co, twojem zdaniem, byłoby wiążącem. Ach! Twoje rozgraniczenie w tej materji jest bardzo mieszczańskie. Nie kłopoczesz się o to, czy dla mnie istnieje ta sama granica i czy musiałabym się oddać, by się do ciebie przywiązać całą duszą.

MICHAŁ.— Wysłuchaj mnie! Zrozum mnie!

HENRYKA. — Och, rozumiem cię. Za chwilę pojadę, a ty się momentalnie opanujesz. Uznasz za prawdziwe szczęście i prawdopodobnie za wybawienie rozłąkę, która ci pozwoli o mnie zapomnieć i wrócić do równowagi i bezpieczeństwa.

MICHAŁ. — Nie, do obowiązków.

HENRYKA. — Jeżeli mówisz o obowiązkach, to znaczy, że mnie nie kochasz.

MICHAŁ. — Ach, jak możesz tak mówić!

HENRYKA. — Nie, nie, nie kochasz mnie. Kto wie? Może twoja miłość była tylko ćwiczeniem się dla higjeny uczuć i pojęć? Może niejasno zdawałeś sobie sprawę, że twoje władze duchowe zaskorupiają się i stygną w twojem uczciwem, nudnem środowisku...

MICHAŁ. — Co? Ćwiczyłem się?

HENRYKA. — Ależ tak, uprawiałeś miłość, jak inni uprawiają szermierkę w celu utrzymania elastyczności muskułów, nie poto jednak, by się kiedykolwiek bić. A więc w chwili, w której się spostrzegłeś, że to uczucie może ci sprawić ból, stanęły ci przed oczyma tragiczne obrazy, dzięki czemu stałeś się nagle ostrożny i rozważny.

MICHAŁ. — Ach, jeżeli się w czem ćwiczyłem, to raczej przeciwnie, w niekochaniu ciebie. Kocham cię jednak na przekór samemu sobie i pomimo beznadziejności tego uczucia. Chcesz dowodów: czy nie wystarczy tęsknota i rozpacz, jakie mnie opanowują natychmiast, gdy nie jestem z tobą? Bo nigdy przedtem, zanim cię poznałem, nie doświadczyłem tej przejmującej, nieustannej, śmiertelnej tęsknoty. Nie, nigdy jej nie zaznałem, a nawet mogę powiedzieć, że byłem szczęśliwy.

HENRYKA. — Ten typ szczęścia, to tak jak zdrowie: ponieważ się go nie odczuwa, więc tak, jakby go wcale nie było.

MICHAŁ. — Kocham cię... wiesz o tem. I wiesz także, jak bardzo cię kocham. Potęga tego uczucia jest tem, co mnie przeraża. Więc boję się... boję się nie o siebie, zrozum to, ale o tych, którym jestem bliski. O wiem, zarzucasz mi tchórzostwo i brak decyzji, ty, która się uważasz za wyższą w swem uczuciu, ponieważ jesteś zdecydowana opuścić swego męża, bez względu na to, co się stanie. Nie jesteśmy jednak w tem samem położeniu. Ty stajesz jako kobieta przeciwko mężczyźnie, a mężczyzna może się bronić. Mężczyzna w wieku twojego męża może rozpocząć nowe życie. Podczas gdy ja występuję przeciwko kobiecie, bezbronnej istocie, którą bądźcobądź kochałem i która odpłacała mi wierną miłością przez dziesięć lat. Opuszczając ją, skazałbym ją na egzystencję, odartą ze złudzeń, na najbardziej upokarzające wdowieństwo. Oto na czem polegałaby podłość... Bo kobieta w wieku Zuzanny niełatwo odbudowuje swoje życie, mając do tego dwoje dzieci, oddane swojej pieczy... i ten minus, że ona byłaby stroną porzuconą. Dość już tego, że tu, o dwa kroki od niej dyskutujemy nad tą kwestją.

HENRYKA. — Masz słuszność, nie należy niczego łamać... zostań przy swoich... zostań przy swoich... Cóż chcesz, bym ci powiedziała? Nie postępujesz zgodnie z swemi pragnieniami.

MICHAŁ. — Robię ofiarę, wyrzekając się ciebie. Tem samem wyrzekam się szczęścia.

HENRYKA. — Poprostu pragniesz uniknąć wyrzutów sumienia, twoja obawa przed zadawaniem bólu, jest jedynie obawą przed własnem cierpieniem, a twoja cnota jest tylko niższym stopniem pożądania... zaś twoje poświęcenie, to w gruncie rzeczy — egoizm.

MICHAŁ. — Ale ofiarą tego egoizmu jestem ja sam, a nie inni.

HENRYKA. — I ja także jestem jego ofiarą. Ale ty bez wahania zadajesz mi ten ból... mnie, która cię kocha i którą rzekomo kochasz.

MICHAŁ. — Przebacz mi... ale jestem sam bardzo nieszczęśliwy, pomyśl więc...

HENRYKA. — Nie mów nic... pozwól mi płakać... Nie zrozumię żadnych racyj, które mi podasz. Pomyśleć, że jesteśmy tu w tej chwili my dwoje i że odczuwamy równocześnie najrzadszą rzecz, która jest na świecie: najdoskonalszy, wzajemny pociąg i że obok nas przechodzi szczęście, a my go nie chwytamy!

MICHAŁ. — Ale nie samo tylko szczęście jest w życiu.

HENRYKA. — Ależ tak, tak, bo przyjdzie dzień, w którym pomrzemy, oto co jest pewne... pozwolimy oddalić się szczęściu, które mogliśmy posiąść. Ach, cały twój obowiązek, litość, rezygnacja i poświęcenie uszlachetnią wielce twój szkielet, kiedy spoczniesz w ziemi... bo potem, potem... powiedzmyż sobie, niema już nic więcej i to jest kres... kres... chyba, że wierzysz w życie wieczne.

MICHAŁ. — Nie, nie wierzę.

HENRYKA. — A więc jesteś szalony! Zresztą, jeżeli mnie kochasz tak jak mówisz i jak ja w to wierzę, — stanie się i tak to, co się stać musi. Zanadto pragnę, by to nastąpiło i wierzę dlatego usilnie, że się spełni. Powziąłeś wprawdzie mocne postanowienie, ale gdy tylko wyjadę zaczniesz go żałować i twoja rozpacz nie da ci spokoju. A więc mówmy: żegnaj, ale wierzmy, że się spotkamy!

MICHAŁ. — Nie!

HENRYKA. — Czy można wiedzieć? Moi współwyznawcy mają zwyczaj mówić sobie, witając nowy rok izraelicki: „Na przyszły rok w Jerozolimie".

MICHAŁ. — Mówią to od dwóch tysięcy lat.

Scena 5.

Henryka, Michał, Anna, Jerzy, Zuzanna, Dzieci.

ANNA (wpada jak bomba, z kapeluszem i parasolką). — Henryko, wiesz która godzina? Już czas jechać.

JERZY. — Tak, tak, teraz już czas najwyższy.

HENRYKA. — Jestem gotowa... jestem gotowa... (Biorąc płaszcz podróżny i mnóstwo drobiazgów, któremi się obarcza). — Gdzież jest wasza matka? Chciałabym się z nią pożegnać.

(C. d. n.)

J. KOSTRZEWSKI

Zatopiona wieś przedhistoryczna w Biskupinie

Wśród podań ludowych polskich i słowiańskich spotykamy nieraz opowieści o zatopionych miastach i wsiach, jak np. podanie o wielkiem mieście portowem Słowian pomorskich Winecie, zalanem przez fale morskie, lub podanie o mieście spoczywającem na dnie Świtezi, zużytkowanem przez Mickiewicza w znanej jego baladzie. Dawno już przypuszczano, że podania te nie zawsze są zwykłym płodem fantazji ludowej, lecz mogą nieraz być odbiciem rzeczywistości. Badania przeprowadzone w r. ub. w Wolinie na Pomorzu, przy jednem z ramion Odry, miały właśnie na celu odnalezienie owej legendarnej Winety, a równocześnie w Wielkopolsce w Biskupinie w pow. żnińskim prowadzono badania w celu odkopania innej zatopionej osady, o której nie przetrwała żadna tradycja do naszych czasów, której istnienie poświadczały jednak odkryte przypadkowo przy kopaniu torfu szczątki budowli i zabytki przedhistoryczne.

Osada znajdowała się na gruncie gospodarza Jerchy, na sięgającym głęboko w jezioro półwyspie jeziora biskupińskiego, położonym naprzeciwko historycznej wsi Wenecji z ruinami zamku, siedziby tak zwanego Djabła Weneckiego. Odkrycie osady zawdzięczamy kierownikowi szkoły p. Szwajcerowi z Biskupina, który o spotrzeżeniach swych zawiadomił jesienią 1393 roku Muzeum Wielkop. Przybywszy na miejsce, oceniłem znaczenie odkrycia, choć na podstawie relacyj p. Jerchy nie mogłem nabrać pewności, czy mamy tu do czynienia z osadą palową, czy też raczej z osadą bagienną.

Przeprowadzone w br. siedmiotygodniowe próbne badania wykazały jednak ponad wszelką wątpliwość, że była to osada zbudowana na powierzchni ówczesnego torfiska, i dały wyniki, które śmiało można określić jako rewelacyjne. Nigdy jeszcze żadne badania w Polsce nie dały tak dokładnego obrazu wyglądu wsi przedhistorycznej, sposobu budowy domostw i całokształtu kultury materjalnej mieszkańców; to też okazało się koniecznem kontynuowanie w roku obecnym tych rozkopywań, które objęły zaledwie dwunastą część terenu osady, w celu odkrycia całej osady i jej otoczenia. Badania przeprowadziły wspólnemi siłami: Instytut Prehistoryczny Uniwersytetu Poznańskiego, Dział Przedhistoryczny Muzeum Wielkopolskiego i Koło Prehistoryków Uniw. Pozn. Organizacją ekspedycji wykopaliskowej zajął się Mgr. Rajewski, st. asystent Instytutu Prehistorycznego U. P., który kierował też przeważnie pracami na miejscu w mojem zastępstwie.

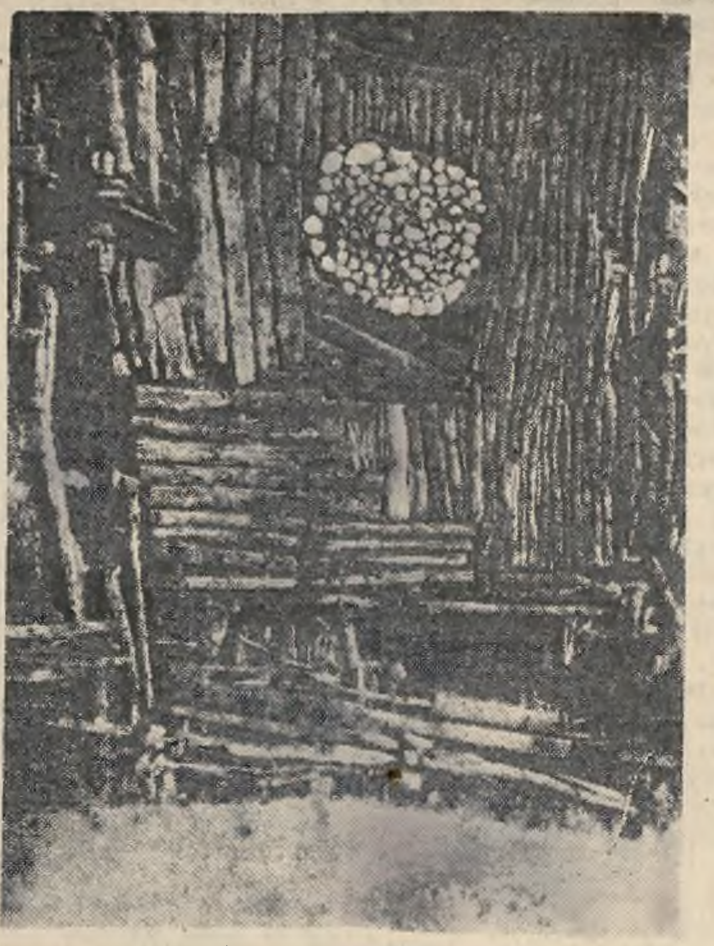
Osada pochodzi z wczesnego okresu żelaznego, z czasu pomiędzy 700 a 400 przed Chr., t. zn. z przed mniej więcej dwóch i pół tysięcy lat. Została ona założoną przez ludność cmentarzysk popielnicowych kultury łużyckiej, najprawdopodobniej prasłowiańską.

Na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń można nakreślić następujący obraz wyglądu osady i życia jej mieszkańców. Na odkrytej przestrzeni 470 m. kw. stwierdzono w głębokości 70 cm. do 1.20 m. istnienie szczątków 7 chat drewnianych mniejwięcej prostokątnych, ustawionych rzędami, szczytami do siebie. Chaty te budowane były wzdłuż dróg wymoszczonych drzewem idących równolegle obok siebie (na wykopanym obszarze stwierdzono cztery takie drogi równoległe) i miały wejście od strony szerszej wychodzące na drogę.



Naczynia gliniane z osady bagiennej w Biskupinie.

Ściany chat składały się z czterech okrągłych słupów na rogach (t. zw. łątek) zaopatrzonych w dwa żłobki wycięte pionowo na całej długości słupa pod prostym kątem do siebie, w które wsuwane były ciosane siekierą deski lub belki (tzw. sumiki), układane poziomo jedna na drugiej. Dla umożliwienia użycia krótszych desek lub belek ustawiano na środku ściany pomiedzy słupami narożnemi jeszcze jeden lub kil-



Podłoga z kamiennem ogniskiem w największej z odkopanych chat w Biskupinie.

ka płasko obciosanych słupów z podobnie wyciętemi, ale przeciwległemi żłobkami pionowemi. Podobnie płasko obciosane słupy stanowiły odrzwia, z tą tylko różnicą, że posiadały żłobki tylko od strony zewnętrznej, natomiast od wewnątrz, tzn. od strony drzwi miały ściany gładkie. Chaty o podobnej konstrukcji ścian zwanej „łątkową“ albo „sumikową“, są do dziś w użyciu w całej Polsce zachodniej, a zapewne znane są i z Polski środkowej.

Konstrukcja ta uchodzi w etnografji polskiej za późną, mianowicie łączono ten rodzaj budownictwa z podrożeniem budulca, co miało skłonić ludność do zastosowania tej budowy jako tańszej, umożliwiającej używanie krótszych belek w miejsce belek jednolitych sięgających na całą długość ściany, jakich wymagała budowa węgłowa z belkami zazębianemi o siebie na narożnikach. Odkrycia w Biskupinie dowodzą, że konstrukcja ta jest bardzo stara, osada badana w br. pochodzi bowiem z przed 2.500 lat, kiedy z pewnością drzewa w olbrzymich puszczach było poddostatkiem, tak, że tylko inne względy, mianowicie trudność obróbki długich belek przy pomocy siekier ówczesnych spowodowała używanie tego rodzaju konstrukcji.

Chaty były dość duże, największa miała 9,90 m. długości, a była około 7 m. szeroka, i być może składała się z dwóch izb. We wszystkich chatach znajdowały się podłogi drewniane, układane z belek i drągów, a w środku chat ogniska, najczęściej gliniane, wyjątkowo też kamienne. Przy takiem ognisku kamiennem w największej z odkrytych chat zachowały się jeszcze na krawędzi 2 ukośne tkwiące w ziemi drążki, które razem z innemi niezachowanemi drążkami widocznie przytrzymywały ongiś rożen, albo też służyły do oparcia sznura, na którym zwisał nad ogniem garnek do gotowania. Podłogi domów spoczywały na rodzaju faszyny z cieńszych drążków, przeważnie brzozowych.

Materjałem budowlanym najczęściej używanym była sosna, dąb i brzoza. Oczywiście z chat zachowały się — poza podłogami — tylko dolne części ścian, przykryte przez szybko rosnącą roślinność bagienną i w ten sposób zakonserwowane, natomiast górna część domów, wystawiona na wpływy atmosferyczne, rychło uległa zniszczeniu.

Tym samym pomyślnym warunkom zawdzięcza swe zachowanie także duża ilość zabytków kościanych, rogowych, a nawet drewnianych, znalezionych w chatach i w ich otoczeniu. M. in. znalazły się tu liczne młotki z rogów jelenich z prostokątnemi otworami dla trzonka, dalej rogowe młotki z trzonkiem, wykonane z rogu z boczną parośclą, narzędzia dłutowate, groty strzał z wyodrębnionym trzpieniem, pusty wewnątrz grot oszczepu, szydła, gładzidła, a wreszcie drewniana mątewka (koziołek).

Z innych zabytków odkryto kilka żarn i dużą ilość kulistych kamiennych rozcieraczy do mielenia zboża, dalej kilka narzędzi bronzowych w postaci sierpa minjaturowego, kółeczka i 3 szpil, w tem dwóch okazów z poziomą główką tarczowatą, skądinąd w tym czasie nie znanych, paciorki szklane, szereg narzędzi kamiennych (toporki pięcioboczne, tzw. serki kamienne itd.) wreszcie ogromną ilość ceramiki. Są tu m. in. grzechotki dziecięce w kształcie beczułki, zabawki w kształcie ptaszków i naczyniek drobnych rozmiarów, przęśliki i ciężarki od krosien, liczne naczynia użytkowe, nieraz bardzo ozdobne, m. in. jedno z wyobrażeniem sceny polowania na jelenie, kilka naczyń zdobionych ornamentem pseudosznurowym, odciskanym ukośnie karbowanym naszyjnikiem, krążkowate talerze, służące zapewne jako podkładki przy pieczeniu płaskich chlebków w popiele i dużo innych naczyń użytku domowego. Znaleziono też wielką ilość kości zwierzęcych, zarówno zwierząt domowych, jak dzikich, a także zwęglone ziarna zboża, orzechy laskowe itd., co pozwala nam odtworzyć tryb życia ludności i określić jej pożywienie.

Spostrzeżenia poczynione przy rozkopywaniach tegorocznych dowodzą po nad wszelką wątpliwość, że osada biskupińska założona została na ówczesnej powierzchni bagna torfowego, niższej o przeszło metr od poziomu dzisiejszego, a zatem na gruncie niehigjenicznym, wilgotnym, pełnym wyziewów niezdrowych, itd., a pozatem stanowiącym nieszczególny teren budowlany. Musiały zatem istnieć jakieś przyczyny ważne, które skłoniły ludność do osiedlenia się w takiem niekorzystnem dla osadnictwa miejscu. Przyczyną decydującą był najwidoczniej wzgląd na obronność miejsca, położonego na długim półwyspie wysuniętym w jezioro i otoczonym od strony lądu bagnami.

Obronne już z natury miejsce wzmocniono jeszcze wybudowaniem na

około osady muru drewnianego, wypełnionego ziemią ubitą, z którego tylko od strony lądu zachowały się wyraźniejsze ślady na powierzchni w postaci wału, gdy od strony jeziora został on widocznie rozmyty. Jedynie na stronie wschodniej półwyspu widnieją jeszcze słabe resztki nasypu, a na stronie zachodniej istnienie podobnego umocnienia drzewno - ziemnego stwierdzone zostało dopiero drogą przekopania. Odkryto tu mianowicie w ziemi fundamenty owych drewnianych konstrukcyj obronnych, mających kształt skrzyń kwadratowych, ustawianych jedna przy drugiej i zbudowanych z belek kładzionych na węgieł.

Od strony jeziora, poza owemi izbicami, jak nazywamy podobne umocnienia, stwierdzono w stronie zachodniej półwyspu istnienie falochronu z kilku rzędów pali, wbijanych ukośnie w dno jeziora i przytrzymujących leżące belki, co miało za zadanie zapobieganie podmywaniu brzegu. Zastosowano tu ten sam sposób budowy wału, jaki stwierdzono kilka lat temu w grodzisku kultury łużyckiej na wyspie komorowskiej jeziora bytyńskiego, co jest zupełnie zrozumiałe wobec tego, że osada w Biskupinie pochodzi z tegoż czasu co starsza warstwa grodziska komorowskiego i stanowi pozostałość tej samej ludności kultury łużyckiej. W okresie wczesnym żelaznym Wielkopolska zagrożona była przez najazd ludności grobów skrzynkowych z urnami twarzowemi, nacierający od północy. Z tego powodu zasiedziała tu od wieków ludność cmentarzysk ciałopalnych kultury łużyckiej zaczęła chronić się w grodziskach i osadach bagiennych, a może i w osadach nawodnych, palowych.

Czy osada biskupińska została zdobyta przez najeźdźców i zniszczona, czy też opuszczono ją z innej przyczyny, trudno jeszcze w obecnym stanie rozkopywań rozstrzygnąć. Ślady pożaru w niektórych chatach mogłyby przemawiać za pierwszem przypuszczeniem, ale mógł to być zwykły pożar spowodowany nieostrożnością, niekoniecznie wzniecony przez wrogi lud napadający. Innym groźnym wrogiem były dla mieszkańców osady powodzie, a ślady jednej poważnej powodzi stwierdzono w osadzie w formie piasku jeziornego, który występuje na wysokości 55—60 cm. pod powierzchnią. Widocznie w związku z tem pozostaje podwyższenie podłogi drewnianej jednej z chat o 20 cm., wykonane w ten sposób, że na dawną podłogę nałożono warstwę gliny, a na nią dopiero drągi stanowiące nową podłogę. Nie dało się jeszcze zadawalająco wytłumaczyć warstw gliny pokrywających duże przestrzenie w osadzie, będące może pozostałością polepy z ścian i sufitów chat. Występowanie skorup łużyckich ponad tą warstwą gliny mogłoby wskazywać, że po zniszczeniu osady mieszkała tam nadal część dawnych mieszkańców zapewne w chatach innego rodzaju, po których nie zachowały się wyraźne ślady. Zagadkowe są spotykane tu i ówdzie narzędzia kamienne i krzemienne o typie neolitycznym, np. dłuto krzemienne, ułamek czekana bojowego, ułamek toporka roboczego, kamienne płyty do polerowania, wióry i okrzeski krzemienne, które mogły się tu dostać w czasie wcześniejszego krótkotrwałego osadnictwa w młodszej epoce kamiennej, ale mogły być także przeniesione skądinąd z ziemią przywożoną przez mieszkańców osiedla „łużyckiego" w celu podwyższenia poziomu półwyspu. Wreszcie znaleziono na przestrzeni badanej w najwyższym poziomie, tuż pod darnią, bardzo wczesne skorupy z okresu wczesnohistorycznego wraz z małym nożem żelaznym, dowodzące, że i w tym okresie półwysep był ponownie zamieszkany.

Badania przeprowadzone w Biskupinie dały nam szereg ciekawych spostrzeżeń, ale równocześnie nasunęły dużo problemów, których w chwili obecnej nie możemy jeszcze zadawalająco rozwiązać. Jednym z takich zagadnień jest kwestja, w jakim stosunku pozostaje stwierdzony tu typ domu mieszkalnego do typu tzw. domów słupowych łużyckich z podsieniami i wejściem w szczycie, jaki znamy z badań na terenach suchych. Czy i tam mamy prawo przyjmować, że słupy były podobnie żłobkowane w celu wsuwania w nie desek czy belek zwężonych na końcach, czy też ściany składały się tam — jak przyjmuje Kiekebusch — z drągów przywiązanych do zwykłych słupów wikliną?

Nawet jeżeli przyjmiemy stosowanie przy wszystkich chatach kultury łużyckiej konstrukcji łątkowej, pozostałaby jeszcze uderzająca różnica w umieszczeniu wejścia, które w Biskupinie znajdowało się ze strony szerszej, — oraz w braku podsieni, których tutaj nie udało się dotąd stwierdzić. Różnice te mogą być wynikiem specjalnych warunków budownictwa na terenie bagiennym i w stosunkach anormalnych, gdzie forma chat i całego osiedla musiała się dostosować do celów obronnych osady.

Ważnym problemem jest dalej kwestja istnienia kilku faz osadnictwa w obrębie kultury łużyckiej, która da się rozstrzygnąć dopiero na podstawie zbadania ceramiki i innych zabytków, zbieranych w czasie kopania oddzielnie według warstw, jakie można było wyróżnić w osadzie. Nie wiemy też jeszcze nic prawie o pomieszczeniach dla bydła, trzymanego w osadzie, o konstrukcji dachów chat, o tem czy istniały na półwyspie pracownie garncarskie, czy też sprowadzano garnki z jakiejś osady w pobliżu, nie wiemy nic pewnego o uprawianiu przemysłu odlewniczego, jakkolwiek mogłoby przemawiać za tem występowanie w Biskupinie szpil bronzowych o formach lokalnych, gdzieindziej w tym czasie nieznanych, nie znamy wreszcie dokładnego planu całego osiedla, a tylko wiemy, że miało ono 4 ulice równoległe.

Wszystko to mogą wyświetlić dopiero badania tegoroczne, mające trwać przez przeszło 5 miesięcy, przy udziale 50 do 100 robotników, zależnie od środków pieniężnych, jakie uda się uzyskać na ten cel. Po zakończeniu prac zamierzone jest urządzenie rezerwatu prehistorycznego na półwyspie, mianowicie zakonserwowanie najlepiej zachowanych chat z częścią dróg jako dokumentu naszej przeszłości w celu umożliwienia zwiedzania osiedla odkrytego szkołom i wycieczkom z dalszych stron.

Zamiar ten umożliwiony zostanie dzięki rozpoczętej akcji wykupna badanego terenu przez Wydział Powiatowy powiatu żnińskiego. który okazał pełne zrozumienie dla wielkiego znaczenia naukowego odkrycia i zrozumiał, że rezerwat planowany, jedyny w swoim rodzaju w Polsce, stanowić będzie wielką atrakcję dla zwiedzających.

Jubileusz najstarszego kościoła akademickiego w Polsce

Najstarszą wszechnicę polską, Uniwersytet Jagielloński, łączą ściśle węzły z najstarszym kościołem akademickim w Polsce, świątynią św. Anny w Krakowie. W czasach, gdy Akademja krakowska mieściła się w gmachu zajmowanym dzisiaj przez Bibljotekę Jagiellońską, była bezpośrednim sąsiadem tej pięknej świątyni krakowskiej, ozdobionej najczystszą w podwawelskim grodzie wewnętrzną dekoracją niespokojnego baroku. Ale nie od początku kościół św. Anny nosił na sobie cechy baroku. Zbudowany mniej więcej w czasach, w których powstał kościół Marjacki, był początkowo pięknym okazem gotyku. Stał wówczas kościół św. Anny w dzielnicy, a raczej przy ulicy, zamieszkiwanej przeważnie przez żydów i stąd Żydowską zwanej. Przyszedł rok 1407. W mieście wybuchła ruchawka, a w czasie niej powstał pożar właśnie przy ulicy Żydowskiej, uszkadzając poważnie akademicką świątynię. Zniszczony kościół od nowił Władysław Jagiełło. W tym stanie przetrwał on do początku XVIII. wieku. Ogólny pęd do przebudowywania wszystkiego co było gotykiem na modny wówczas barok, nie oszczędził i tego kościoła, tembardziej, że stan jego rychłej wymagał odbudowy. Drugim motywem były małe rozmiary pierwotnego kościoła św. Anny, który nie mógł pomieścić garnącej się do niego, jako do swej świątyni, młodzieży akademickiej.

Wobec takiego stanu rzeczy przebywający na dworze ks. Lubomirskich budowniczy Tillman Camerini sporządził plan, według którego rozpoczął budowę Franciszek Solari. Wzorem był mu rzymski kościół S. Andrea della Vale.

Kościół św. Anny zbudowany został w kształcie krzyża, który wieńczy w pośrodku okazała kopuła. Budowa żywo interesowała profesorów Jagiellońskiej Wszechnicy, toteż wydelegowali oni ze swego grona ks. prof. Piskorskiego, który budowy doglądał. Do budowy użyto najszlachetniejszego materjału, jakiego dostarczyć mogła okolica stolicy Jagiellonów. I tak bloki białego marmuru czerpano z okolic Ojcowa, szarego z Regulic, czarnego z Dębnik, czerwonego z Chęciny, a inne materjały z Toń. Koniuszy, Myślenic i pinczowskich kamieniołomów. Dekorację wnętrz powierzono artystycznej „spółce" włosko - szwedzkiej, Baltazarowi Fontana i Karolowi Dankwartowi. Podzielili się oni pracą w ten sposób, że Fontana wykonał stiuki, a Dankwart malowidła ścienne.

We wnętrzu kościoła św. Anny zwraca uwagę przedewszystkiem piękny ołtarz w kaplicy św. Jana Kantego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Sarkofag z relikwiami świętego, wykonany z białego marmuru, spoczywa na barkach czterech postaci, przybranych w długie togi akademickie. Są to przedstawiciele czterech ówczesnych fakultetów uniwersytetu, teologji, medycyny, filozofji i astronomji. Sarkofag świętego wzniesiono w początkach XVIII stulecia. Ufundował go biskup krakowski Kazimierz Pomian - Łubieński. Pod opieką proboszcza parafji św. Anny pozostaje również mieszkanie i kapliczka świętego, znajdujące się w gmachu Bibljoteki Jagiellońskiej. Św. Jan Kanty (pochodzący z Kęt) początkowo prof. filozofji na Uniwersytecie Jagiellońskim, przyjął następnie święcenia kapłańskie i został profesorem wydziału teologicznego. Gdy osiadł na stałe w Krakowie i zamieszkał w skromnych dwóch celach w gmachu obecnej Bibljoteki Jagiellońskiej, królowa Elżbieta poleciła zbudować słynącemu już wówczas z świątobliwości mężowi małą kapliczkę naprzeciw jego mieszkania. Kanonizacja św. Jana Kantego nastąpiła w roku 1767.

W wielkim ołtarzu kościoła św. Anny widnieje ołtarz patronki kościoła, pędzla Jerzego Eleutera, nadwornego malarza Jana III. W ołtarzu św. Sebastjana widzimy dzieło Pawła Pagani. Kościół zdobi pozatem szereg innych pięknych ołtarzy, nagrobków, tablic i t. d.

Jak zaznaczono w tytule kościół św. Anny obchodzi wielki jubileusz. Nie jest to rocznica jego założenia. ale rocznica podniesienia probostwa przy tym kościele do godności kolegjaty. Stało się to przed 400 laty.

„Największym atoli darem jaki uniwersytet w tej epoce uzyskał — pisze o tem wydarzeniu dr. Barycz w „Historji Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce humanizmu" — była przemiana probostwa św. Anny na kolegjatę, dokonana z fundacji doktora dekretów Michała z Lublina kanonika łowickiego i archidiakona kurzelowskiego, który umierając (w 1527 r.), zapisał — poza drobnemi legatami — na ten cel cały swój majątek. Urządzeniem fundacji zajęło się Kolegjum Większe, które w kwietniu 1528 r. wybiera w związku z tem osobną komisję, złożoną z Bernarda z Biskupiego, podówczas rektora uniwersytetu, dalej Stanisława Biela, Andrzeja Burkarta, Mikołaja z Szadka i Jana z Piotrkowa. Wspomniana komisja zakrzątnęła się najpierw za odpowiedniem rozszerzeniem posesji, należącej do kościoła św. Anny, celem zbudowania domu dla wikarjuszy. Jakoż na początku 1529 r. zakupiono od Walentego Schonfeldeka przylegający do plebanji św. Anny plac, na którym niebawem z osobno na ten cel przeznaczonego przez Michała z Lublina funduszu wystawiono dom dla wikarjuszów.

Ostateczna erekcja kolegjaty, po zatwierdzeniu przez biskupa Tomickiego, nastąpiła w *dniu 27 października 1535 roku.* Uposażenie roczne kolegjaty, oparte na kapitale wieczystym 5.700 złp. wynosiło rocznie 285 złp. Kapituła składała się z prepozyta, który miał posiadać uposażenie dawnego plebana, dalej dziekana i pięciu kanoników, płatnych rocznie — prócz nadzwyczajnych opłat za czynności kościelne — po sześć grzywien. W skład kolegjaty wchodzić miało nadto siedmiu stałych wikarjuszów, płatnych po dziesięć grzywien rocznie (przyczem częściowo mieli być opłacani z fundacji Piotra Salomona). Prepozyt miał być wybierany, podobnie jak dawniej pleban, naprzemian przez uniwersytet i opata mogilskiego, dziekan i kanonicy przez Kolegjum Większe. Wybór wikarjuszów powierzono częściowo kapitule, częściowo prepozytowi. Kapituła generalna zobowiązana była zbierać się raz do roku nazajutrz po św. Annie, patronce kościoła, mniejsze posiedzenia mogły się odbywać zależnie od potrzeb kościoła w każdy piątek. Członkowie kapituły byli zobowiązani do odprawiania zwykłych nabożeństw, za co dostawali pewne wynagrodzenie. Pierwszym prepozytem został dotychczasowy pleban św. Anny Mikołaj Krabus, dziekanję otrzymał Jan Pruszyński z Piotrkowa, bakałarz teologji, zaś kanonje: Jakób z Sierpca, Marcin z Ciężkowic, Jan z Kazimierza, Benedykt z Koźmina i Jan ze Mstowa. Zasadnicze rysy tej organizacji pozostały przez długi czas niezmienione".

W związku z jubileuszem kolegjaty św. Anny ukończono ostatnio odnawianie cel i kapliczki św. Jana Kantego, którego postać tak ściśle związana jest z krakowskim Uniwersytetem i jego piękną świątynią. AK.

ALEKSANDER MEDYŃSKI

Barbara Radziwiłłówna w oświetleniu lekarskiem

Na VI Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Wilnie, odbytym w dniach od 17 do 20 września br. a poświęconym rozmaitym zagadnieniom polsko - litewskim, ustaloną wreszcie została, niemal po upływie czterystu lat, przyczyna śmierci Barbary Radziwiłłówny, drugiej żony Zygmunta II. Augusta.

Około jej osoby zarówno wśród współczesnych, jak następnie z biegiem lat powstało tyle sprzecznych opinij, dotyczących nietylko jej charakteru, obyczajów, wpływu na króla i stosunki w kraju, a nawet i to bardzo wybitnie w poglądach na jej chorobę, oraz przyczynę śmierci. Od rozsnuwanej zaraz po jej śmierci legendy, iż zmarła skutkiem otrucia, za poduszczeniem Bony, któratо opinja przez długie lata pokutowała nawet w podręcznikach szkolnych niemal lat ostatnich — do tezy Prof. Dra Kolankowskiego, który niedawno jeszcze w „Dziejach polityc znych Polski Jagiellońskiej" (Wiedza o Polsce, T. I. str. 308) pisał: „Cierpiała bowiem i zmarła Barbara na chorobę francuską" — sprawa choroby królowej i przyczyna jej śmierci była rozwioną na ostatnim zjeździe wileńskim malcie naogół błędnie naświetlaną.

Ostatecznie sprawa zostało załatdzięki jednemu z najlepszych referaów zjazdowych, przedstawionemu przez hi toryka medycyny Dra Witolda Ziembic kiego, który przedstawił wyniki swej obszernej pracy w referacie: Barbara Radziwiłłówna w oświetleniu lekarskiem". Wprawdzie znany ten autor, sprawozdanie swe nazwał „próbą przedstawienia sądu lekarskiego o Barbarze i jej cierpieniach, jakoteż o przyczynie śmierci" — ale wyniki, do których doszedł, opierając się na wcale obfitym materjale źródłowym, użyczającym podstawy do dociekań lekarskich, zatracają — zdaniem naszem charakter „próby" — a nabierają znaczenia ostatniego, rozstrzygającego w tym względzie twierdzenia, wyrażonego przez lekarza, podczas gdy dotychczas liczni pisarze, przedewszystkiem niefachowi z punktu widzenia wiedzy lekarskiej, opierając się na sprzecznych nieraz opinjach dochodzili do wniosków, pozostających w rozterce przez długie dziesiątki lat z rzeczywistym stanem rzeczy.

Wyniki wśród tego niby labiryntu najbardziej sprzecznych opinij osiągnął Ziembicki nietylko dzięki gruntownemu zbadaniu pozostających w tej mierze do dyspozycji materjałów źródłowych, ale dzięki — co zdarza się po raz pierwszy w tej dziedzinie — fa chowemu wniknięciu w podane przez źródła fragmenty choroby królowej i złączeniu ich w jeden przyczynowy związek, doprowadzający do jej katastrofy życiowej. W ściśle na źródłach opartym referacie, związanym konstruk cyjnie w nadzwyczaj logiczną całość — wypowiedział tedy autor ostatnie słowo na temat choroby i przyczyny śmierci Barbary, rozwiewając w ten sposób te rozliczne legendy, które zasnuwały się z biegiem lat około jej osoby.

Po szeroko ujętym przeglądzie wiadomości, posiadanych o Barbarze, z uwzględnieniem szczegółów, mogących zaważyć na szali sformułowania pożądanych wniosków — przechodzi Ziembicki do rozpatrzenia przebiegu choroby królowej na podstawie zachowanej korespondencji Zygmunta Augusta, ochmistrza Maciejowskiego i sekretarza Kosuckiego — do brata Barbary, Mikołaja Radziwiłła „Rudego", poczem przed wyprowadzeniem wniosków lekarskich z tego materjału, rozpatrzył te opinje, jakie o chorobie i przyczynie śmierci Barbary zarysowały się wśród współczesnych i potomnych.

I tak Zygmunt August nie zastanawiał się nad istotą choroby, lecz poprzestał na rozpoznaniu objawowem przez lekarzy „wrzodu na żywocie", który doprowadził do uszkodzenia „wnętrzności" i spowodował śmierć przez wyniszczenie, wśród gorączki. Widocznie i lekarze nie podali mu żadnego innego wytłumaczenia choroby, czemu dziwić się nie można, zważywszy na ówczesny stan diagnostyki.

Opinja publiczna, poruszona wczesną śmiercią Barbary, dopatrywała się w tem *ręki zbrodniczej*. Niektórzy kronikarze zarejestrowali to rozpowszechniane przypuszczenie, *że Barbara została otrutą za sprawą Bony*, przyczem wymieniano nawet sekretarza jej Ludwika Monti, jako wykonawcę zbrodni. Ze stanowiska lekarskiego — jak twierdzi autor — sprawa otrucia Barbary nie może być wogóle traktowana poważnie, gdyż przebieg choroby, rozwijającej się przez długie miesiące, zakończonej śmiercią, wynikłą z ciężkich zmian zapalnych, wśród ropienia i gorączki, bez żadnego wahania przekreśla powyższą opinję.

Autorowie, którzy odrzucali możliwość otrucia, twierdzili, że Barbara zmarła na *raka*. W swym, fachowym wywodzie przechodzi autor do porządku dziennego nad „autorytatywnem" w tej mierze stawianiem kwestji przez Balińskiego i zaznacza, że kładzie „raka Barbary obok otrucia, pomiędzy domysły, niewchodzące w rachubę".

W najnowszych czasach wypłynęła inna, trzecia koncepcja: *syfilis*, którą to chorobę jako przyczynę śmierci autor również wyklucza, gdyż żaden szczegół nie upoważnia do takiego roz poznania a objawy, występujące u Bar bary nie dadzą się żadną miarą pod tę postać chorobową podciągnąć.

W przeciwstawieniu do powyższych „rozpoznań" stawia autor twierdzenie: królowa zapadła i uległa *chorobie kobiecej*. Rzucającym się w oczy objawem chorobowym u Barbary był wysięk ropny w jamie brzusznej, który przebił powłoki brzuszne i wydostał się na zewnątrz. Wysięk spowodował najpierw jednolite stwardnienie w całej dolnej połowie brzucha od kości łonowej w górę, aż do pępka. Zczasem na powłokach brzusznych, w obrębie nacieku zaznaczyły się po kolei dwa miejsca wyniosłe, wykazujące tzw. chełbotanie w tych miejscach nastąpiło przebicie i potworzyły się tzw. przetoki, któremi wyciekała cuchnąca ropa. Procesowi towarzyszyła gorączka, opadająca lub podnosząca się zależnie od łatwiejszego lub trudniejszego odpływu ropy. Nagromadzona w głębi treść zapalna miała swe źródło w sprawie zapalnej, toczącej się w miednicy małej, około macicy, był to bowiem t. zw. wysięk około macicy.

Autor zajmuje się w dalszym ciągu swych wywodów kwestją, czy w historji choroby Barbary można znaleźć wytłumaczenie powstania takiego wysięku, czyli eksudatu, przyczem zaznacza, że np. po poronieniu mogła wywiązać się infekcyjna choroba zapalna i mógł wtedy powstać wysięk, którego resztki mogły w przyszłości, pod wpływem jakiejś infekcji czy szkodliwości, stać się zarzewiem gwałtownego zaostrzenia i następstw.

Nietylko poronienie mogło być zawiązkiem śmiertelnego cierpienia Barbary. Wchodzą tu w grę procesy infekcyjne innego pochodzenia, nie wykluczając gonokoków, jakkolwiek one właśnie nie powodują zazwyczaj następstw tak fatalnych. Tak czy inaczej — w myśl tego twierdzenia — choroba Barbary, spowodowana jakąś infekcją narządu rodnego (ale nie infekcją luetyczną), wywołała początkowo sprawę stosunkowo zlokalizowaną, objawiającą się bólami, potem cuchnącemi odchodami. *Sprawa zaczęła się szerzyć, objęła miednicę małą i jej otrzewną, wytworzyła przetoki, pociągnęła za sobą ogólny stan septyczny, którego objawem między innemi były przypuszczalnie zakrzepy żylne infekcyjne w nogach, — uszkodziła serce, krew i zniszczyła cały ustrój.*

Taki przebieg częstej stosunkowo choroby kobiecej, był na owe czasy, przy ówczesnym poziomie higjeny i ówczesnym stanie nauki i sztuki lekarskiej, czemś niezwykłem i dawał pole do rozmaitych domysłów, nie pozostających w związku z właściwym przebiegiem choroby.

Wobec tego po raz pierwszy fachowego wniknięcia zarówno w przebieg choroby jak odpowiedniego postanowienia wniosków, praca Ziembickiego sprowadzała zupełny zwrot w ocenie całej, przez wieki należycie nieocenionej sprawy. Oparte na materjale źródłowym, zwarte w konstrukcji i ścisłe w logicznem dowodzeniu wywody autora wyprowadziły sprawę z chaosu sprzecznych opinij na grunt rzeczywistego stanu sprawy, nic więc dziwnego, że tak ujęty referat na Zjeździe wileńskim spotkał się z ogólnem uznaniem. Podaliśmy w najogólniejszym zarysie szczegóły tej niezwykle ciekawej i ważnej pracy, stawiającej na właściwym, odpowiadającym rzeczywistości, poziomie pruskiej choroby oraz przyczynę śmierci tej królowej, która, jak żadna inna, była przedmiotem tak sprzecznych opinij.

Więcej troski o język

Międzynarodowe zjazdy slawistów dają sposobność poruszenia stosunku ogółu inteligentnego do spraw językowych. Stosunek ten, biorąc przeciętnie, jest nienormalny, powiedziałbym nawet: nienaturalny. Poprostu my, tj. ludzie nie związani zawodowo z językoznawstwem, za mało i za rzadko interesujemy się rodzimą mową, wysłowieniem i „wypisaniem" się, niedostateczną objawiamy troskę o czystość i piękno tego największego skarbu narodowego w znaczeniu etnopsychologicznem, jakim jest język.

Kongresy filologów słowiańskich po za swojem aktualnem, referatowo-dyskusyjnem i programowo - orjentacyjnem znaczeniem naukowem, obchodzić winny laika o tyle, że mu przypominają wszechstronną rolę lingwistyki, odsłaniając bogactwo tego, co już zrobiono i co się zrobić planuje. O Słowiańszczyźnie wiemy bardzo pobieżnie dorywczo, przypadkowo i nie korzystamy z okazji bliższego poznania jej dorobku kulturalnego. Językami słowiańskiemi całkiem się nie zajmujemy i znajomość ich wśród kół oświeconych jest kompromitująco słaba, zgoła wyjątkowa.

W gimnazjach dotychczasowego typu nie uczono przed wojną poza ojczystym, żadnego języka słowiańskiego ani w zaborze austrjackim, ani pruskim. W Kongresówce obowiązkowym, a w zasadzie wykładowym, był język rosyjski, ale uczono go się z musu, niechętnie, jako narzuconej mowy wroga, symbolizującej władzę carską nad największą częścią etnograficznej Polski. Ci, którzy posiadają język rosyjski z czasów szkolnych, należą już dziś do starszego pokolenia i coraz mniej mogą wchodzić w rachubę. Młode pokolenie, które w ostatniem 20-leciu uczęszczało do szkoły średniej (przeważnie już we własnem państwie), rosyjskiego nie zna wcale. W dawnej Galicji, mianowicie wschodniej, dużo Polaków, zwłaszcza mających kontakt ze wsią, rozumie po małorusku, ale już w alfabecie i arkanach pisowni (ze względu na trudności cyrylicy) wyznają się tylko jednostki.

Pierwszym przeto krokiem do usunięcia językowej zapory ignorancji między nami, a resztą narodów słowiańskich, jest wprowadzenie do programu gimnazjów i liceów, ewentualnie nawet ostatniej klasy szkół powszechnych, obowiązkowych lekcyj języków: czeskiego i rosyjskiego (do wyboru). Mowa bowiem sąsiadów naszych winna być Polakom przedewszystkiem dobrze znaną w słowie i piśmie. Mniej potrzebny, ale również wskazany do nauki nadobowiązkowej, byłby język słowacki i serbski. Na terenach zaś kraju mieszanych narodowościowo, tam, gdzie obok Polaków mieszkają w większej ilości Rusini (mylnie zwani „Ukraińcami") i Białorusini, trzeba koniecznie uczyć już najmniejsze dzieci obu tych, wielce do polskiego zbliżonych języków, teoretycznie, tj. literacko nie zbyt imponujących, ale potrzebnych praktycznie i nieocenionych np. dla żołnierza na wypadek zamieszek wojennych.

My Polacy słyniemy z łatwości przyswajania sobie cudzych języków i chełpimy się tem nawet czasem ponad miarę. Skazani na to, że poza rodziną słowiańską nie rozmówimy się nigdzie w rodowitym swoim języku, opanowujemy lekko i bez większego trudu mo-

wę innych i posługujemy się nią z płynnością tubylca. Powoduje to jednak pewne lekceważenie własnego języka, jego upośledzenie, niskie szacowanie, jako „zaściankowego". Nie spotkać czegoś podobnego ani u Niemca, ani u Francuza, ani tem bardziej u Anglika. Zagranicą nawet dygnitarze, piastujący najwięcej reprezentacyjne stanowiska, zmuszeni z racji tego występować na forum międzynarodowem, posługują się bez skrupułu mową rodowitą, nie troszcząc się, czy go słuchacze pojmują. Czynią to nietylko dyplomaci np. hiszpańscy, ale i delegaci na zjazdach międzynarodowych gdzie nawet księża z półwyspu iberyjskiego nie umieli się wyjęzyczyć choćby po — łacinie, nie mówiąc już o jakiejś mowie nowożytnej.

Czem jest własny język, jego urok i wdzięk, widzi się dopiero, gdy się wejdzie między obcych i porówna ich dźwięki z swojskiemi. Wtedy się dopiero odczuwa, co to znaczy być Polakiem i co mamy w tej naszej codziennej mowie za klejnot nieoszacowany, jaki łącznik nieoceniony. Wzruszenie ogarnia najsurowszego człeka na podobieństwo onego sienkiewiczowskiego latarnika. Rozumie w pełni wraz z Brodzińskim, że „mowa siły dzielnemi przez wieki spaja narody", jak nic innego pod słońcem.

Lecz nie o sentyment chodzi, jeno o rzetelną troskę, aby mówić i pisać ładnie, poprawnie, tępiąc cudzoziemszczyznę, strzegąc rodzimości. Tu najczęściej mści się odraza do gramatyki. Wina to zazwyczaj starych podręczników, które nie umiały jakoś rozbudzić i podtrzymać w uczniu zajęcia, owszem nudą i oschłością formułek, sieczką jałowych figur i przykładów, odstręczając najcierpliwszych. Dziś nie jedno zmieniło się na lepsze, ale gramatyka zawsze jeszcze przedstawia kamień obrazy dla młodocianych umysłów i z największą satysfakcją ciska ją się już w wyższych klasach w kąt. A przecież słuszność miał Kwintyljan, kiedy twierdził, że bez gramatyki cała budowa nauk, jako bez fundamentów stawiana, chwiać się i trzeszczeć musi.

Polszczyzna nasza potoczna uboga w wyrażenia, jednostajna, wyświechtana, zeszpecona germanizmami, rusycyzmami i galicyzmami, dusi się w powijakach i bandażach obcych zwrotów, porównań i nowotworów. Czasby już był chyba zaprzestać dziecinnych sporów, w której dzielnicy gorzej mówią i gdzie jaskrawsze popełniają błędy językowe, a zabrać się do czyszczenia owej stajni Augjaszowej. Zaganiać trzeba na gwałt piszących do słowników i stylistyk, aby rewidowali swój skąpy zasób jezykowy, wyzbywając się łatwizn gazeciarskich i ćwiczyli się w kompozycji pisarskiej. Przestać operować jednemi i temi samemi określeniami szablonów językowych, z nałogiem prowincjonalizmów, który zaśmieca polszczyznę literacką i do reszty banalizuje wysłowienie codzienności, względnie je barbaryzuje.

Lenistwo językowe doszło u nas do tego, że zanika już i do legendy niemal przechodzi zarówno wytworna konwersacja, jak i sztuka pisania listów. Obie stanowiły ongiś probierz wychowania towarzyskiego, miarę kultury estetycznej dnia powszedniego. Żyjemy w czasach, kiedy ludzie ani inteligentnie rozmawiać nie lubią, ani korespondować nie umieją. Zdawkowe komunały, nic nie znaczące frazesy lub familijne plotki, oto wszystko, dokoło czego obraca się rozmowa „salonowa". O listach bezpieczniej nie wspominać, bo zanadto przykre przyszłoby tu wytoczyć zarzuty.

Słychać skargi ciągle na niechlujstwo przekładów, na tandetę tłumaczów, już nie treściową, ale formalną. Winę główną obok niedbalstwa przypisalibyśmy niskiemu poziomowi uświadomienia językowego w społeczeństwie. Nie wystarczy zwalać troskę o język na barki polonistów zawodowych. Nie godzi się dbałości o styl zostawiać samym jeno literatom. Inaczej się coś robi z profesji, a inaczej z zamiłowania. Piecza nad pięknem prozy, jej poprawnością gramatyczno - logiczną i jej przymiotami estetyczno - twórczemi, należy do ogółu inteligencji narodowej. Jest obowiązkiem wszystkich, poczuwających się do wspólnoty językowej, oświeconych obywateli kraju. Oby do niego dorośli! *C. L.*

Życie społeczne pszczół

Obserwacje życia pszczół interesują nietylko zawodowego hodowcę, czy miłośnika przyrody. Faktycznie bowiem drobne te owady — drogą powolnego stopniowego rozwoju — wytworzyły jedyną w swoim rodzaju, zwartą i karną organizację, dającą niewyczerpany temat do badań zarówno myślicielom, jak i uczonym, poetom, a nawet... socjologom.

Wystarczy wskazać, tu na przepiękne dzieło M. Maeterlincka „Życie pszczół", pełne ciekawych obserwacyj natury, a owiane czarem prawdziwej i poetyckiej fantazji.

Znakomitem uzupełnieniem tego dzieła jest opublikowana świeżo w polskim przekładzie praca dra K. Frischa*).

Praca to tem ciekawsza, że autor nie schodzi w niej ani na krok, z terenu zaobserwowanych, niezbitych faktów, — które jednak umie powiązać logicznie, poddać naukowej krytyce i wyciągnąć z nich właściwe wnioski. W sumie mamy dzieło naukowe, pisane jednak tak żywo i interesująco, iż czyta się je jakby najciekawszą powieść.

PRZESZKOLENIE ROBOTNIC

Nie będziemy powtarzać znanych powszechnie rzeczy o organizacji roju, podziale na robotnice, trutnie i królowe. Zajmiemy się natomiast bliżej robotnicami, tym „szarym tłumem", na którego barkach, jeśli można się tak wyrazić, spoczywa dobrobyt, bezpieczeństwo, i całe życie tego małego społeczeństwa. Na tym punkcie dużo nowego materjału uzyskano dzięki zastosowaniu tzw. ula obserwacyjnego ze szklanemi szybami, przez które można dokładnie obserwować życie wewnątrz ula, a nawet poszczególne pszczoły-robotnice, odpowiednio poznaczone.

Z obserwacyj tych wynika, że każda robotnica w ciągu swego krótkiego stosunkowo żywota (4—5 tygodni) przechodzi kolejno wszystkie „zawody", istniejące w społeczeństwie pszczół. Zaczyna od najniższych posług: czyszczenia opróżnionych komórek, po paru już dniach jednak przechodzi do roli karmicielki i opiekunki młodych larw.

Drugi okres życia, od 10-go do 20-go dnia, zaznacza się już większą rozmaitością i intensywnością pracy: rozdział miodu, produkcja wosku, budowa plastrów, utrzymywanie czystości w ulu, i wreszcie służba strażnicza przy wylocie.

Po tem „przeszkoleniu" dopiero pszczoła-robotnica rozpoczyna trzeci, najważniejszy okres swego życia. Zaczynają się loty, stopniowo coraz dalsze, w poszukiwaniu za miodem lub pyłkiem i znoszenie tych skarbów do ula. Praca to najcięższa: trzeba oblecieć około tysiąca kwiatów dziennie, by napełnić swoje wole i z zebranym miodem wrócić do ula.

Na szczególną uwagę zasługuje narząd pokarmowy. a w szczególności żołądek pszczoły. Dr. Frisch nazywa go trafnie „koszykiem na sprawunki", którego zawartość należy do całej gromady. Żołądek ten, zwany wolem, zamknięty jest normalnie od strony jelit rodzajem wąskiego wentyla, tak, że treść je-
NOTKA

x) Dr. K. Frisch: „Życie pszczół" (Wyd. „Bibljoteka Wiedzy", Trzaska, Evert i Michalski S. A. Warszawa).

go, a mianowicie zbierany pracowicie miód, znajduje się tylko w czasowem przechowaniu we wolu. Pszczoła-robotnica, kiedy jest głodna, otwiera ów wentyl i wówczas dopiero nieco zawartości wola przedostaje się do jelita i tam ulega strawieniu. Całą zaś resztę oddaje robotnica, po powrocie do ula, na wspólny użytek.

PSZCZOŁY-TANECZNICE

Pszczoły - robotnice, którym skolei przypada funkcja zbierania miodu lub pyłku, „specjalizują sie" w jednej lub drugiej czynności. Nie dość jednak jest znaleźć obfite źródło tych skarbów: trzeba o odkryciu swem zawiadomić wszystkie towarzyszki, trzeba się z niemi w jakiś sposób porozumieć.

Dzieje się to zapomocą... tańców. Pszczoła wyspecjalizowana w zbieraniu miodu, po powrocie ze swym skarbem do ula, dzieli się nim z młodszemi siostrami, — poczem, pozbywszy się ciężaru, rozpoczyna oryginalny taniec, „okręcany": drepcąc drobnemi kroczkami, zatacza na plastrze ciasne koła, raz w jedną, raz w drugą stronę. W ślad za nią puszczają się inne pszczoły — i toczy się taki oryginalny korowód przez kilkadziesiąt sekund. Nagle taniec ustaje, tancerka kieruje się ku wylotowi ula i odlatuje do pracy. Dopięła celu, bo oto na kwiatach, gdzie jest szczególnie dużo nektaru, zjawiają się wkrótce całe gromady pszczół. Jakie znaczenie ma ten taniec, o tem pouczają nas przeprowadzone obserwacje i doświadczenia. — Pszczoła - tancerka przynosi ze sobą swoisty zapach kwiatów, z których miód właśnie zbierała; towarzyszki jej rozumieją tę „mowę kwiatów" i wylatują na poszukiwania za tym właśnie gatunkiem kwiatów. Godnem podziwu jest, że w ten sposób pszczoły nietylko mogą zebrać wielkie ilości miodu w okresie kwitnięcia pewnych gatunków kwiatów, ale przez taki masowy niejako najazd na nie przyczyniają sie do ich zapylenia.

Ale trzeba się liczyć i z ekonomią pracy: pocóż wysyłać całe armje robotnic na kwiaty, posiadające nektar mniej słodki ub w znikomej tylko ilości? Toteż w podobnych wypadkach taniec „okręcany" staje się wolniejszy, ospały, a w ślad za tem zmniejsza się i ilość „zainteresowanych" robotnic.

Inny taniec wykonują robotnice, wyspecjalizowane w zbieraniu pyłku kwiatowego. Najodpowiedniejszą dlań nazwą będzie „wywijany": robotnica, po powrocie do ula, siada na plastrze i wywijając odwłokiem, zaczyna kręcić się naprzemian w jedną i drugą stronę, zakreślając półkola. Wkrótce pociąga za sobą długi sznur towarzyszek, które czułkami swemi dotykają jej tylnych odnóży, by następnie wylecieć na poszukiwanie pyłku. I w tym wypadku decydującą rolę gra swoisty zapach pyłku kwiatowego, różny dla każdego gatunku kwiatów. I tutaj taniec odbywa się tylko wówczas, kiedy tancerka odkryła kwiaty, szczególnie obfitujące w pyłek.

Znowu więc mamy przykład idealnej celowości w przyrodzie: kiedy zakwitną masowo np. maki, pszczoły, poinformowane o tym fakcie przez tancerkę, wyruszają gromadnie w poszukiwaniu kwiatów maku, a zbierając z nich pyłek, zapladniają nieświadomie kwiaty

TERMOMETR W ULU

Jak wiadomo, „królowa" składa jajka od najwcześniejszej wiosny do jesieni, a ilość ich dochodzić może do 1500 na dobę, co równa się prawie całej wadze jej ciała.

Dla normalnego rozwoju czerw potrzebuje stałej temperatury 35—36 st. C., utrzymywanej zawsze na jednym poziomie. Taką też temperaturę posiada rzeczywiście wnętrze ula, a czuwają nad tem pszczoły-robotnice. Podczas chłodnych dni można je obserwować, jak skupiają się tłumnie na komórkach z czerwiem, chroniąc je własnem ciałem przed zbytnią utratą ciepła. Podczas upałów siedzą na plastrach, wachlując bez przerwy skrzydełkami, niby małe wentylatory, celem usunięcia przez wylot z ula przegrzanego powietrza. Są to jednak prymitywne zabiegi, nie wystarczające do wyjaśnienia nam zagadki dokładnego regulowania temperatury wewnątrz ula.

A zagadnienie to tem ciekawsze, iż pszczoły, podobnie jak inne owady, posiadają zmienną ciepłotę ciała, której nie mogą dowolnie regulować, a która ściśle zależną jest od temperatury środowiska.

NIEMA BEZROBOTNYCH!

Oddawna już uchodzi pszczoła za symbol pracowitości i zapobiegliwości. Bo też rzeczywiście stanowi ona unikat w olbrzymiej społeczności owadów, dzięki celowej organizacji życia zbiorowego. Niema tam miejsca dla próżniaków i darmozjadów: przysłowiowe trutnie, wypędzone sromotnie z ula po zapłodnieniu królowej, giną śmiercią głodową, bo nie są zdolne do żadnej produktywnej pracy. Zostają w ulu ciche pracownice, spędzające cały swój niedługi żywot w służbie dla ogółu.

Społeczeństwo pszczół, to najpiękniejszy przykład ustroju komunistycznego, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. A nauka uczy nas, że upłynęły wieki, zanim pszczoły doszły do tego, najwyższego szczebla rozwoju, o ile idzie o zorganizowane życie zbiorowe pod hasłem wspólnej pracy dla zapewnienia ciągłości gatunku.

(r.)

Pożyteczne biedronki

Do pożytecznych, a niedocenianych należycie owadów należą też biedronki, zwane u ludu „Boże krówki". Zjadają one mszyce, wyrządzające ogromne szkody w plantacjach róż, jabłoni, brzoskwiń, w winnicach i t. p.

O wielkiej pożyteczności biedronki przekonano się najpierw w Kalifornji, gdzie założono dużą hodowlę drzew brzoskwiniowych. Zbiór brzoskwiń zawiódł zupełnie oczekiwania, a to skutkiem masy mszyc, które rzuciły się na młode drzewa. Za poradą entomologów sprowadzono na pomoc biedronki, które też w bardzo krótkim czasie wytępiły mszyce.

Obecnie hoduje się masowo biedronki w rozmaitych miejscowościach Stanów Zjednoczonych i sprzedaje się je na wagę.

Hodowle podobne przynoszą wcale pokaźne dochody.

SWIAT KOBIECY

Płoteczki o modzie

— Oglądając najnowsze modele jesienno-zimowe ma się wrażenie, że nietylko o kryzysie świat już dawno zapomniał, lecz że znajdujemy się w okresie najbujniejszej „prosperity". Takie wszystko wspaniałe, takie wyszukane i.. drogie!

Przepiękne aksamity, przetykane złotem i srebrem, kosztowne tkaniny jedwabne, koronki, tiule, .tafty...

— Na uwagę zasługują jedwabne muśliny, zdobne w desenie kwiatowe. Kwiaty te wycina się i aplikuje w dwóch trzech warstwach na deseń zdobiący suknię, dzięki czemu kwiat nabiera plastyczności.

—Im bliżej zimy, tem większe widzimy zastosowanie futra w modzie jesienno-zimowej. Futro ozdabia suto zarówno kostjumy jak i płaszcze, — przyczem prym wiodą karakuły i brajtszwance. Również i w toaletach wieczorowych przybrania futrzane, we formie plisek u dołu spodnicy, lub wąskich ramiączek przy dekoltowanym staniku, grają dużą rolę.

— Nowością są krótkie bolerka futrzane, sięgające, do pasa.

— W zimie ujrzymy futrzane toczki, kołpaczki i nawet kapuzy. Zarękawki nosić się będzie zawieszone na jedwabnym sznurku, opasującym szyję. Można też będzie zastąpić zarękawek rękawiczkami futrzanemi, sięgającemi aż do łokcia.

— Kostjumy angielskie odznaczają się śmiałem zestawieniem dwu a nawet trzech jaskrawych kolorów: granatowy z czerwonym lub zielonym, czarny z niebieskim lub różowym, popielaty z pomarańczowym lub ceglastym itp. Często spodnica z materjału gładkiego, przy żakiecie z tego samego materjału w jakiś deseń, — i do tego jasna bluzka.

— Bardzo modne są bluzki atłasowe o rękawach raglanowych z małemi bufkami.

— Jak się zdaje, w karnawale miejsce loczków zajmą pomału warkocze. W Paryżu bowiem już od dłuższego czasu zaznacza się wyraźny nawrót do długich włosów.

— Z klejnotów najmodniejszemi obecnie są szafiry we wszystkich odcieniach, od jasnego błękitu do czarnego prawie granatu. Nie znaczy to jednak bynajmniej, jakoby inne szlachetne kamienie wyszły z mody. I owszem — obok brylantów i pereł widzi się dużo rubinów, szmaragdów, nieraz w bardzo pięknych i oryginalnych kombinacjach.

— Peleryny i „capes" nosi się zarówno w ciągu całego dnia, jak i wieczorem. Te ostatnie głównie z aksamitu czarnego, czerwonego, lub „bois de rose" (najmodniejszy kolor na wieczór), przybrane bogato srebrnemi lisami lub gronostajami.

— Z guzikami dzieją się dziwne rzeczy. W Paryżu wyszukuje się stare monety srebrne i złote, przepłacając je nawet, byleby przybrać suknię czemś zupełnie oryginalnem i bezkonkurencyjnem. Istna epidemja kolekcjonowania starych monet... na sukniach.

— Rękawiczki powinny w kolerze harmonizować z płaszczem lub suknią. Najmodniejsze w tej chwili są skórkowe skombinowane na drugiej stronie z zamszem. Manszety przy nich nieco mniejsze, niż w zeszłym sezonie.



KĄCIK KOSMETYCZNY

Pielęgnacja rąk

Nie mamy tu na myśli „manicure". Idzie nam o coś innego, coś, co stanowi największe zmartwienie każdej pani domu, zajmującej się osobiście wszystkiemi czynnościami gospodarskiemi i kuchnią: idzie o to niszczenie, zgrubienie skóry rąk, pękanie jej, czernienie palców skutkiem obierania jarzyn itp.

Najlepszym środkiem zapobiegawczym będzie zawsze noszenie cienkich rękawiczek gumowych przy tego rodzaju pracy. W ten sposób unikniemy tak przykrego i trudno dającego się usunąć czernienia skóry na palcach.

A jeżeli noszenie rękawiczek sprawia nam trudności, — trzeba koniecznie zaraz po ukończonej pracy w kuchni obmyć starannie ręce przetłuszczonem mydłem w ciepłej wodzie. Zczernienia skóry usuwamy, nacierając ją sokiem z cytryny. Dobrze jest potem wetrzeć w ręce parę kropel gliceryny z dodatkiem odrobiny soku z cytryny i wody kolońskiej, — o ile ktoś nie przekłada nad to doborowego kremu lanolinowego.

Drobne te i niekosztowne zabiegi musi się jednak robić regularnie co dnia, po ukończonej pracy.

Ciastka z pianką i jagodami.

Upiec z kruchego ciasta placuszki z wałeczkiem. Ubić na pianę 1/4 l. gęstej śmietany z cukrem, zaprawić sproszkowaną wanilją, napełnić ciasteczka śmietaną a wkoło wałeczka obłożyć jagodami lub konfiturą.

Pierożki z groszkiem.

Ugotować na miękko, młody, zielony groszek, odcedzić, zmieszać z drobno usiekaną, tłustą szynką; nakładać tą mieszaniną cienko rozwałkowane, zwykłe, kruche ciasto, zagniecione bez cukru, zawijać i wycinać je na podłużne pierożki. Posmarować rozbitem jajkiem i upiec w ciepłym piecu. Można także ułożyć tak przyprawiony groszek w ciasto zwyczajne, jak na pierogi, zalepić je mocno, powycinać, ugotować w wodzie z solą i podać, oblane topionem masłem z bułeczką, lub, kto lubi, okraszone miodą słoninką.

Pomidory z kiszonemi ogórkami.

Świetne są pomidory zalane kwasem z kiszonych ogórków, podane jako sałatka. (Pomidory i ogórki należy pokrajać w talarki posypawszy po wierzchu szczyptą cukru). Pomidory przekładać można również plasterkami jabłek.

KONSERWY

Gruszki

2 kg. gruszek bergamotek obrać, przekroić, wydrążyć. Rozpuścić 1½ kg. cukru skropionego wodą z sokiem z 6 cytryn; skórkę cytrynową pokrajać w cienkie paseczki i rzucić w syrop, następnie gruszki i smażyć wolno, dopóki nie szczernieją.

Zamiast soku z cytryn można wziąć filiżankę dobrego, winnego octu.

Śliwki.

Na kilo wydrążonych śliwek bierze się ½ kg. cukru.

Cukier skropiony wodą zagotować na syrop i sparzyć śliwki, następnie syrop zlać, odłożyć do drugiego dnia. Powtórzyć to przez osiem dni. Dziewiątego dnia gotować syrop tak długo, dopóki nie zgęstnieje, włożyć śliwki, jeżeli kto chce, wrzucić skórkę z pomarańczy lub garść pokrajanych migdałów, zagotować, wystudzić, poczem ułożyć w słoju.

Poradnik dla gosposi

Paluszki do zup.

1/2 kg. kartofli, 1/2 kg. mąki, 1/4 masła, trochę soli.

Kartofle (ugotowane) zemleć w maszynce, dodać mąkę, masło, sól. Ciasto wyrobić dobrze, następnie, wytoczywszy długie wałeczki, formować z tego paluszki. Przed wstawieniem do pieca posmarować jajkiem rozbitem z wodą i posypać kminkiem. Po 20 min. są upieczone.

Obwarzanki do herbaty.

1/2 kg. mąki, 1/2 szklanki mleka, 1/2 szklanki dobrej śmietany, łyżkę masła, łyżkę cukru, 2 dkg. drożdży.

Zagnieść to wszystko razem na ciasto wolne (drożdże dodać, do masy rozpuszczonej w mleku) następnie robić obwarzaneczki, biorąc ciasta po kawałku mniej więcej małego kartofelka. Obwarzaneczki powinny być cienkie, gdyż potem jeszcze urosną. Wysmarowawszy blachę masłem, pokłaść obwarzanki i postawić w miejscu ciepłem aby podrosły. Gdy się ruszą posmarować jajkiem rozbitem z wodą, posypać solą z kminkiem i wstawić w średnio gorący piec. Wyjąć, gdy zrumienią się dobrze.

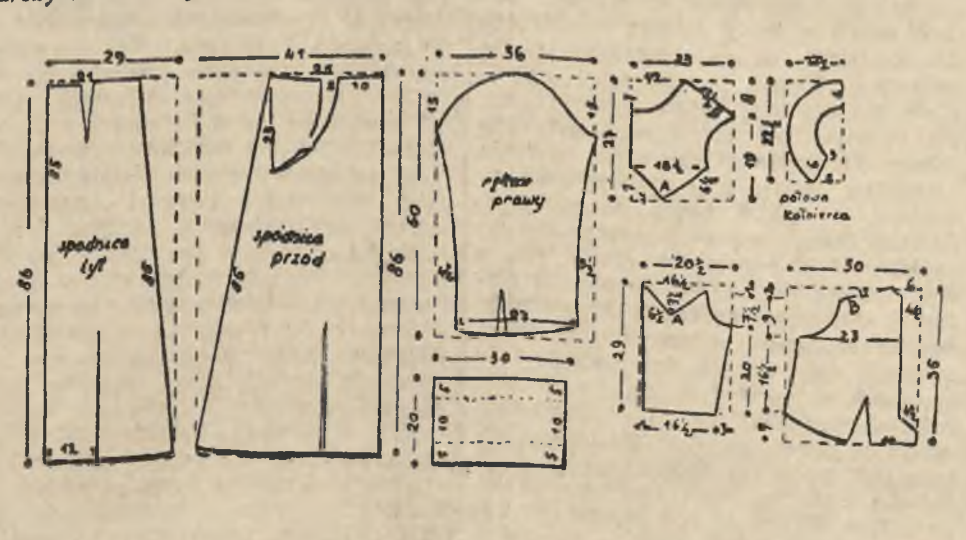
Sukienka wełniana



Dajemy dziś model i krój jesiennej sukienki wełnianej, przybranej odpowiednim plastronem. Skromna ta, a elegancka sukienka, którą nosimy pod płaszczem, odpowiednią będzie zarówno dla młodych panienek, jak i dla starszych nawet pań.

Potrzeba na nią 3 m. materjału, szerokości 1.30 m.

Plastron może być do odpinania, pikowany lub przybrany lekko marszczonemi koronkami, dzięki czemu suknia wygląda strojniej.



KNEDLE ZE ŚLIWKAMI

Ugotować ćwierć kg ziemniaków i rozetrzeć je na masę z 3 dkg masła, wyłożyć na stolnicę, dodać ćwierć kg mąki, dwa jajka, 1/16 litra śmietany i łyżeczkę soli; wszystko razem doskonale zmieszać i wyrobić. Podzielić ciasto na małe kawałki, rozpłaszczyć każdy i zawijać w nie śliwki. Gotować na wrzątku przez 5 minut i polać na półmisku zarumienionem masłem. Osobno podać ubitą z cukrem śmietanę.

ZRAZY NELSOŃSKIE

1 f. dobrej wołowiny lub najlepiej polędwicy, pokrajać na cienkie zrazy, zbić dobrze, posolić, popieprzyć. Zrumienić w rondlu łyżkę masła i na to masło układać zrazy warstwami, przekładając je drobno pokrajaną cebulką, grzybkami, pokrajanemi drobno kartofelkami lub tartym, suchym chlebem. Na wierzch położyć jeszcze kawałek masła i cebuli i przykrywszy szczelnie, dusić około 20 minut, potrząsając często rondlem.

RYŻ Z BITĄ ŚMIETANĄ

Sparzyć ryż i pozostawić go tak przez godzinę, potem zlać, przelać zimną wodą i ugotować na miękko w mleku z cukrem i cynamonem. Ugotowany ryż ułożyć naokoło półmiska, w środek zaś ułożyć wysoko dobrze ubitą, kwaśną śmietanę, zaprawioną cukrem i wanilją. Wanilję można poprzednio wygotować w łyżce mleka, które przed ubiciem wlać do śmietany.

„Parcelacja" Teatru Wyobraźni

Posegregowanie Teatru Wyobraźni na: Wielki, Powszechny, Kameralny, i Obcy, wprowadzające pewną systematyczność i celowość w tę — do niedawna tak chaotycznie, bezładnie i dorywczo traktowaną dziedzinę sztuki radjowej, bezwątpienia wychodzi na dobre obu zainteresowanym stronom, t. zn. i słuchaczom i radju. Ale jak we wszystkiem, tak i tu powoli występują na jaw ujemne strony tego systemu; jedną z nich jest napozór rzecz całkiem niewinna, słowo: wielki, w nazwie „Wielki Teatr Wyobraźni". Ma ona prawdopodobnie — przypominać termin „wielki repertuar" używany rzadko i odświętnie w odniesieniu do przedstawień teatru wizualnego.

Zastanówmy się, czy słowo to zastosowane a priori do pewnych słuchowisk, nie będzie nadużywane? Bo jeśli dyrektor teatru (wizualnego) chce wprowadzić na afisz sztukę z „wielkiego repertuaru", to — wiemy dobrze — ma w czem wybierać. Lecz w radjo zapowiedziano wyraźnie, że w Wielkim Teatrze Wyobraźni, będą wystawiane słuchowiska oryginalne, nieznane, a w dodatku wyłącznie polskie. Skąd jednak wziąć co miesiąc słuchowisko, spełniające te trzy warunki, a jeszcze i godne wystawienia pod firmą „Wielkiego Teatru"? To ostatnie zagadnienie jest — zdaje się — najtwardszym orzechem do zgryzienia dla warszawskiego kierownika działu słuchowisk.

Bo istotnie trudno jest wmówić w słuchaczy, że to jest wielkie, rewelacyjne, przełomowe. Nie pomoże nawet szumnie uprawiana reklama, ni — chwilami grubo niesmaczne — peany pochwalne, pouczające jak należy reagować na to, co za chwilę usłyszymy. A mam na myśli konkretny przykład: słuchowisko Zofji Nałkowskiej „Noce Teresy". Poprzedzające je — na dobrych kilka dni naprzód — komunikaty i zapowiedzi, dawały przedsmak czegoś wprost niebywałego, a tymczasem w dniu premiery spotkało nas przykre rozczarowanie. Z wspomnianych wyżej warunków „Noce Teresy" spełniały tylko jeden, ten mianowicie że były... słuchowiskiem produkcji polskiej. „Wielki" teatr wyobraźni pokazał słuchaczom małą, bardzo małą i niezbyt logiczną duszyczkę Teresy, sprzedającej swą urodę i zdrowie poto, by przysporzyć środków na utrzymanie rodziny. Obarczenie troską o tę rodzinę, kochającego a zamożnego narzeczonego, uchodziło u tejże Teresy za rzecz niegodną i poniżającą! Logika — chciałoby się rzec — iście kobieta. Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek istniał lub istnieć będzie typ kobiety normalnej, zdrowej psychicznie, zdolnej do podobnego postępowania. Chyba tylko w wyobraźni autora przedmowy do „Nocy Teresy" wprost upajającego się własnym zachwytem nad tem słuchowiskiem. Ja jednak twierdzę, że nerwy Teresy nie musiały być w porządku i dziwi mię, że jej ekscesom poświęcono tyle pracy, uwagi i miejsca.

Słuchowisko — jako samo słuchowisko — miało sporo momentów ciekawych, pełnych ekspresji dramatycznej i dynamiki. Akcja dobrze rozplanowana, napięła uwagę słuchaczy do wysokich granic, choć właściwie samo zakończenie nie dawało pełnego odprężenia. Gra artystów — dobra.

* * *

Sporo mieliśmy również audycyj lwowskich. Z tych Wesoła Fala — nadawana w zasięgu ogólnopolskim — pt. „Lwów się trzęsie" należała do gatunkowo gorszej sorty. Wynikło to prawdopodobnie z tego, iż zabrakło już czasu na przygotowanie czegoś lepszego, co-by mogło zastąpić prawie w ostatniej chwili odwołaną — spowodu wybuchu wojny — „Nową Aidę" etjopsko-włoską operę bleuffo. Widzimy na tym przykładzie, że jednak wpływ wojny toczącej się w Afryce, zaznacza się aż w dalekim Lwowie.

Również i tematy literackie stają się nieraz — dzięki aktualnościom politycznym bardziej frapujące, niżby tego w innym wypadku można oczekiwać. Tak i wspomniany konflikt abisyński zaktualizował twórczość poetycką Mikołaja Gumilowa, a raczej ściśle biorąc zbiór jego poezyj pt. „Namiot", których treścią jest podróż poety po Abisynji i Afryce Wschodniej. Sam poeta — ofiar bloszewickiej walki z kontrrewolucją — stosunkowo mało jest w Polsce znany. Dlatego na pełną pochwałę zasługuje literacki feljeton Teodora Parnickiego pt. „Abisynja i Wschodnia Afryka widziane oczyma poety" w którym omówił powyższy temat. Jednak z jedną rzeczą nie zgadzam się z autorem feljetonu, — z tem mianowicie, że wybrane przykłady poezji Gumilowa w przekładzie własnym, należy uważać za niedoskonałe. Przeciwnie, jakkolwiek nie znam stosunku przekładów do oryginału, podkreślić muszę, pełną wartość artystyczną tych pierwszych.

I znów przez pewne skojarzenie obrazu Abisynji ze słoneczną Italją nasuwa mi się wspomnienie feljetonu prof. Stanisława Machniewicza o „Polskiej kaplicy w rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo". Historja ozdobienia jej ścian, pracowni naszego lwowskiego artysty Jana Henryka Rosena, opowiedziana została tak pięknie i barwnie, językiem tak żywym a dźwięcznym, że słuchanie jej należało do prawdziwych przyjemności. Osoba obecnego papieża Piusa XI-go, cieszy się u nas Polaków dużą popularnością, a i Ojciec Święty darzy naród polski specjalnem uczuciem. Dla tych to również względów feljeton powyższy był niezmiernie ciekawy i aktualny.

IRENA NAŁĘCZ.

Radjo i jego rola w wojnie

Stosunkowo niedawne to czasy, gdy o stopniu zamożności, a po części może i kultury domu świadczył na zewnątrz najwymowniej fortepian lub pianino, zajmujące „honorowe" miejsce w tradycyjnym saloniku, wśród foteli i kanapek, pokrytych szaremi pokrowcami.

Dziś dużo się pod tym względem zmieniło.

W olbrzymiej większości wypadków miejsce fortepianu zajął głośnik radjowy, uważany już od dawna za integralną część składową nowocześnie urządzonego mieszkania. Aż dziw doprawdy, w jakiem szybkiem błyskawicznem niemal tempie głośnik radjowy opanował świat cały!

Siedząc przy kominku i słuchając radja nie zdajemy sobie sprawy, że i ten wynalazek potrafiła ludzkość wyzyskać dla celów wojennych. I to w rozmaity sposób. Mamy tego przykłady w obecnym konflikcie włosko - abisyńskim.

Oto np. radjostacja włoska w Bari nadaje audycje w języku arabskim, w których atakuje się gwałtownie Anglję za jej stanowisko zajęte w tym konflikcie. Agitacja ta przybrała takie rozmiary, że władze rządowe w Egipcie, Jerozolimie i innych krajach, pozostających pod wpływem Anglji wydały formalny zakaz publicznych audycyj radjowych ze stacyj zagranicznych, w szczególności zaś z Bari.

Krótkofalowcom naszym może kiedyś udało się złapać potężną radjostację, mającą znak wywoławczy ETA. To stacja rządowa w Addis - Abeba, jedyna zresztą radjostacja, jaką dotąd Abisynja rozporządza. Na falach tej stacji płynęły liczne skargi, zażalenia, wyjaśnienia, protesty i telegramy, kierowane do Ligi Narodów. Jedyny to łącznik między czarnem cesarstwem, a światem. Otóż w planach wojsk włoskich leży zbombardowanie tej radjostacji, co miałoby niemniej doniosłe znaczenie, jak przerwanie jedynej linji kolejowej, wiodącej z Addis - Abeba do portu Dżibuti. Idzie tu, coprawda, raczej o efekt moralny, — bo rząd abisyński z pewnością, licząc się z tą ewentualnością, zmontował zawczasu parę rezerwowych stacyj w innych punktach kraju, — ale sam plan dowodzi jasno, jaką wagę przywiązują Włosi do radja, jako instrumentu propagandy.

Jest jednak radjo w tej wojnie i sprzętem wojennym, w pełnym tego słowa znaczeniu. Oddziały wojskowe, operujące w rozmaitych, odległych od siebie punktach, w kraju nieznanym i wrogim, pozbawionym dróg i połączeń telegraficznych, mogą jedynie dzięki radju pozostawać ze sobą w nieustającym kontakcie. A jakie to ma znaczenie zwłaszcza w tej kampanji, zbytecznem byłoby wyjaśniać.

Zmienił się również sposób wysyłania sprawozdań z placu boju. W kąt poszedł telegraf. Bo zresztą, gdzież go szukać w tym półdzikim kraju, wśród pustynnych plasków, czy niedostępnych przepaści i wąwozów górskich?

Więc wielkie amerykańskie koncerny dziennikarskie wysłały do Abisynji całą ekspedycję radjo - reporterów, która niedawno właśnie przybyła do Addis - Abeba.

Każdy z tych reporterów wiezie ze sobą kompletną aparaturę krótkofalową z którą wyruszy na plac boju, starając się dotrzeć do pierwszych linij walk. Stamtąd odrazu, na gorąco, nadawać będzie reportaż, naprawdę autentyczny, tętniący prawdą, życiem bez pośredniości. Reportaż na krótkich falach, który via stacje egipskie przekazywany będzie wprost do Ameryki.

Służba to trudna i wcale ryzykowna. Wprawdzie każdy taki radjo - reporter ma na plecach i piersiach dużą tablicę z napisem w języku włoskim i narzeczu amhara: „Baczność! Nie strzelać! Reportaż radjowy!", — ale czy tablica ta zabezpieczy go dostatecznie przed każdą zabłąkaną kulą lub przed nożami rozjuszonych czarnych wojowników?....

LUCY

Głosy kobiet w radjo

O „Mądrej i niemądrej miłości macierzyńskiej" mówiła mądrze pani Marja Skrzydlewska — i oby jej słowa trafiły do uszu niemądrych matek. Bo w tym przypadku trudno powiedzieć: do rozumu. Ale niechby przynajmniej wywołały chęć rewizji zasad postępowania i chociażby cień samokrytycyzmu. Niemądra miłość dyktuje bowiem zawsze fałszywe i szkodliwe metody wychowawcze, które w rezultacie unieszczęśliwiają gorąco ukochane „pociechy", a dla domowników stają się pasmem niewysłowionych udręczeń. Sama matka, ojciec, służba — to męczennicy, zaprzągnięci dniem i nocą do służby u rozkapryszonego dziecka, za co, oczywiście, płaci system nerwowy ofiar regimu wychowawczego. Pogadankę ilustrowały trafnie dobrane przykłady. Była tam mowa o próżności matek, które stroją swoje córeczki, niby lalki wystawowe i uniemożliwiają im każdą zabawę z lęku o nienaruszalność tych świetności. A rezultat? Brak ruchu i swobodnej zabawy wpływa ujemnie na zdrowie i humor dziecka, ku niezmiernemu zdumieniu poświęcającej się matki. Dwunastoletni zdrowy harcerzyk marzy o obozie zimowym. Nic z tego! Troskliwa mateczka „nie miałaby ani chwili spokoju", ponieważ nie zgadza się z twardym obyczajem harcerskim. — Ciekawość dziecka w kwestjach seksualnych zaspakaja się jeszcze często bajeczkami o bocianie. I tak „wstydliwość" matki sprawia, że świętą tajemnicę powstawania człowieka objaśnia mu jakieś plugawe usta. — Obsługiwanie chłopców przy każdej sposobności pogłębia w nich typowo męski egoizm, który w późniejszem życiu daje się dobrze we znaki biednym żonom. — Zdobywanie przebojem zaufania dorastającej córki kończy się zawsze nieporozumieniem. Córka oceniając wyrozumiale postępowanie matki — żyje własnem, głęboko zakonspirowanem życiem. — Wszystkie te pomyłki dzieją się tylko dlatego, ponieważ matki nie rozumieją, że dzisiejszym dzieciom potrzebna jest nie małpia, lecz: mądra miłość.

Temat również pedagogiczny podjęła pani Janina Ezupowicz, która wyjaśniła, na czem powinien polegać „Udział matki w pracy dziecka". Otóż przedewszystkiem nie na wyręczaniu go w zadaniach. Należy przypilnować wypełnienie planu pracy, śledzić jego przebieg, nie przeszkadzać pytaniami, ukończoną robotę skontrolować, a ustne zadania przepytać. Jakość pracy zależy od warunków, w jakich bywa dokonywana. Dziecko musi mieć swój własny kąt do nauki, stół o wymiarach 60x50 cm, a wysokości takiej, ażeby w pozycji siedzącej stół sięgał do łokci. Odpowiednie światło w dzień i wieczorem, padające od lewej strony. Same dzieci nigdy o to nie dbają, a skutek jest taki, że 20 proc. krótkowzrocznych w klasie pierwszej, urasta w klasie ósmej do 60 proc. Czytanie jest pracą tak dobrze, jak np. haft. Książka powinna leżeć ukośnie, oddalona o 30 — 40 cm. od oczu. Wskazane jest częste wypoczywanie oczu — a wzbronione czytanie w pozycji leżącej. Po odrobieniu lekcyj najlepszem odprężeniem umysłu, mięśni i oczu jest praca domowa: nakrywanie do stołu, sprzątanie, reperacja ubrania, praca ogrodowa.

„Problem służby domowej" jest jednocześnie problemem gospodarczym. W ostatnich czasach zrozumiałyśmy to nareszcie i dlatego zajmujemy się nim poważnie, a nie jak to doniedawna jeszcze bywało jedynie narzekaniem na nieodpowiednie siły. Zawód ten jest uważany za niższy rodzaj pracy, a przez zatrudnione w nim kobiety niechętnie widziany, z powodu niektórych jego ujemnych stron, jak przymus zamieszkania w domu pracodawcy, osamotnienie w obcem środowisku, nieograniczony czas pracy, nierozwiązaną kwestją urlopów, różnorodność pracy, która wymaga inteligencji i pociąga za sobą odpowiedzialność. Wszystko to pomniejsza atrakcyjność tego zawodu i sprawia, że dziewczęta marzą stale o zmianie zawodu, nie doceniając licznych jego dodatnich stron, jak chociażby same świadczenia w naturze, których nie dają inne zawody. Referat porównawczy pani Haliny Siemieńskiej, omawiający stosunki u nas i zagranicą zawierał sporo słusznych uwag. Brak mu tylko było zaakcentowania niewspółmierności wymagań służby w stosunku do uzdolnień i zupełnego nieprzygotowania do przyjętych na siebie obowiązków. Zadaniem naszem powinno być teraz podniesienie tego zawodu przez żądanie wyszkolenia fachowego od pomocnic domowych. Następnie — polepszenia warunków pracy, zapewnienia szerszych ubezpieczeń społecznych i rozbudowę organizacyj zawodowych. Będzie to aktem sprawiedliwości społecznej, a jednocześnie zapewni nam odpowiednio wyszkolone siły, a co za tem idzie spokój domowy, zależny w dużej mierze od dobrej służby.

Trzy pogadanki poświęciła architektka, pani Jadwiga Ostrowska, sprawie współczesnego mieszkania i jego estetyce. Temat nader wdzięczny i zawsze aktualny, jednak omawiany już wielokrotnie przed mikrofonem i recenzowany na tem miejscu. To prawda, że u nas kultura mieszkań szwankuje w porównaniu z innemi krajami, wobec czego nigdy dosyć takich pogadanek i uwag. Ogólne spostrzeżenia pani Ostrowskiej i jej rady kryją się w zupełności z tem co już mówiły jej poprzedniczki, zamiast więc powtarzać znane rzeczy — podkreślę tylko słuszną jej propozycję i bardzo potrzebną do przeprowadzenia na naszym gruncie, a to zrobienie egzaminu zawartości mieszkania. Co niepotrzebne i niecelowe — wyrzucić, oczyścić mieszkanie z nagromadzonych gratów, pozostałe zaś rzeczy porozmieszczać umiejętnie, zharmonizować je wzajemnie, odświeżyć nowemi niekosztownemi szczegółami. Najbrzydsze i najskromniejsze mieszkanie nabierze wówczas charakteru czegoś indywidualnie przemyślanego. I jeszcze jedno, — zwróćcie uwagę na źródło światła, na rozmieszczenie lamp, na ich jakość. Nie idzie o rzeczy drogie, ale o łagodne światło, któreby zastąpiło obecne, ostre, kłujące oczy zmęczone całodzienną pracą. Problem oświetlenia mieszkań jest u nas do dziś kopciuszkiem, pomijanym obojętnie

K. SOBAŃSK